BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W SOPOCIE

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

C IV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 13 czerwca 1948 r. | Nr 24 (133)

TREŚĆ NUMERU: K. Koźniewski — List do Euzebiusza. F. M. Nowowiejski — O plastyce poznańskiej. Prof. dr. J. Czekanowski — Przemówienie. A. Chciuk — święte Maryje od morza. Francuskie pele — mele. A. Zatopiński — Szczęście — rzecz najważniejsza.

Nik Rostworowski

PALESTYNA

Jest coś z gigantycznego paradoksu w rozroście idei syjonistycznej, zjednującej wciąż nowe rzesze wyznawców, w epoce zmierzchu nacjonalizmów. W roku 1917, kiedy lord Balfour pisze do lorda Rotschilda: „Rząd Jego Królewskiej Mości zapatruje się przychylnie na powstanie w Palestynie siedziby narodowej dla narodu żydowskiego i zrobi wszystko, co w jego mocy, aby ułatwić osiągnięcie tego celu" (osławiona „Deklaracja Balfoura") — statystyka ludnościowa Palestyny wykazuje liczbę 80 tys. mieszkańców wyznania mojżeszowego. W 10 lat potem jest ich tam już 150 tys., w dwadzieścia lat potem 396 tys., aby w roku 1948 przekroczyć cyfrę 700 tys. Pieniądze na fundusz syjonistyczny płyną z całego świata. Wdowi grosz kamasznika z Magnuszewa dodamy do milionowych ofiar newyorskiego potentata nawadnia pustynne połacie Negebu, na kamiennym skrawku wybrzeża wznosi 200 tys. Tel-Aviv, wpływa decydująco na rozwój oświaty, której straż przednią otwiera słynny Uniwersytet Jarozolimski. Po 19 wiekach zapomniany język hebrajski staje się mową potoczną; obowiązuje w szkołach, urzędach i prasie. Ciemni ortodoksi pogardzani chałaciarze wyrastają nagle na bohaterów dnia, bo jedynie ich czuła, zwierzęca wierność dla kultu ocaliła mowę przodków. W Palestynie dzisiejszej, gdzie rej wodzi ateistyczna, hołdująca socjalizmowi młodzież, ortodoksi cieszą się niekłamanym autorytetem, czego zewnętrzną oznaką jest ich udział w rządzie Izraela.

Mniemania powszechnie obowiązujące mają jedną, niewątpliwą zaletę: Sprzyjają lenistwu myślenia, ułatwiając formułowanie prymitywnych, ale korzystnych dla nas sądów. Nierzadko przechodzą w nałóg. — Przywykliśmy do oglądania Żydów w diasporze, oderwanych od pnia macierzystego, czyli własnej ziemi i tej więzi społecznej jaką zapewnić może tylko naród zamieszkujący prawnie lub zwyczajowo wyodrębnione terytorium.

Przez 1900 lat Żydzi żyją w rozproszeniu albo w gettach. Tzw. cechy charakterystyczne, które skłonni byliśmy im przypisywać okazały się schorzeniami, naroślami tylko częściowo zawinionymi. W Palestynie socjologia wraca do praw. Wbrew entuzjastom nieokreślonej bliżej determinanty biologicznej i obłudnikom dyskontującym konsekwencje klątwy rzuconej przed 2.000 lat, obowiązują tam te same kryteria społeczne co gdzie kolwiek indziej. Oczywiście lichwiarzy, chytrych wyzyskiwaczy nie brak. Tak jak nie brak ich np. w Polsce, gdzie w wyniku eksterminacyj nazistowskich powstała nowa warstwa drobnomieszczan, wrosła [illegible] krzywdzie i [illegible] brze. Ale w Palestynie są jeszcze inne warstwy. Jedna czwarta ludności żydowskiej żyje z rolnictwa. W kolektywnych gospodarstwach (kibucach) eksperymentuje się nowe formy organizacji produkcji. Chłopi i robotnicy fizyczni stanowią trzon społeczności Izraela. Wielu z nich to byli adwokaci, lekarze i inni przedstawiciele wolnych zawodów. Entuzjazm budowania własnego home'u cechuje nie tylko pionierską działalność emigrantów. Wbrew logice czasu udziela się on ludziom, którzy od dawna zerwali wszelkie związki z żydostwem.

Palestyna zawdzięcza swój rozwój ekonomiczny głównie amerykańskim dolarom. Ofiarodawcy z kraju Wuja Sama dalecy są od rezygnacji z form bytowania do jakich przywykli, dalecy od ryzykowania życia i mienia w palestyńskim eksperymencie. Ale rozmach i śmiałość eksperymentu porywa. W sposób spontaniczny wyzwala się jakaś jaźń zbiorowa, odżywają nagle jakieś rudymenty solidarności klanowej (nie mit solidarności międzynarodowej żydostwa, który prysł w retorcie doświadczeń II wojny) i pieniądze płyną, a równocześnie z umęczonej Europy płyną szczątki ocalałych z pogromu. 9 milionów 946 tysięcy mniej 5 milionów 721 tysięcy równa się 4 miliony 225 tysięcy. Rachunek cokolwiek makabryczny. Odejmujemy trupy od przedwojennej ilości Żydów zamieszkujących nasz kontynent. Dane pochodzą z obliczeń anglo-amerykańskiej komisji z r. 1946. 4 miliony 225 tysięcy pogorzelców żegluje myślą ku Ziemi Obiecanej. Jak dotąd nieomal na palcach można policzyć szczęśliwych, jakich udało się przemycić dzięki prywatnym armatorom południowo-amerykańskim, którzy za słoną opłatą podjęli ryzyko narażenia się na zły humor Johna Bulla.

POZORNE ANTYNOMIE

Na wąskim skrawku wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego o powierzchni 26.300 km kw. mieszka w chwili obecnej 1.200 tys. Arabów i ponad 700 tys. Żydów. Zróżnicowanie etnic[illegible] pokrywa się tu niemal całkowicie z podziałem socjalnym. Jest kolosalna dysproporcja między stopą życiową ludności żydowskiej, której trzy czwarte zamieszkuje miasta a położeniem muzułmańskich fellachów, osiadłych na karłowatych gospodarstwach rolnych. Wciąż jeszcze obowiązujący w świecie arabskim system feudalny nie wytrzymuje konkurencji nowoczesnych metod kapitalistycznej i półsocjalistycznej gospodarki żydowskiej. Stopień uświadomienia klasowego nie jest wśród Arabów na tyle wysoki, ażeby nędzny pracobiorca muzułmański kierował swą niechęć w stronę arabskiego obszarnika (effendi), właściciela kilkunastu a nierzadko kilkudziesięciu tysięcy dunamów ziemi, który z lekkim sercem gotów ją wymienić na żydowskie funty. Wzrost bezrobocia wśród arabskich robotników rolnych postępuje w parze z wykupnem ziemi przez Żydów. Wielki Mufti Jerozolimy, najbardziej aktywny przedstawiciel rej wodzącego rodu Husseinich — może liczyć na stuprocentowy efekt swych wystąpień, kiedy z pobliskiego Kairu podżegując wiernych do „świętej wojny" wskazuje na osiągnięcia żydowskiego Funduszu Podwalin (Keren Hajessod) czy Funduszu Narodowego (Keren Kajemeth). Pierwszy finansuje rozbudowę osiedli rolniczych, drugi — jest instytucją zakupującą ziemię, którą następnie wydzierżawia grupom osiedleńczym na okres 49 lat. Arabowie nie bez kozery czują się zagrożeni, a ich potęgujący się nacjonalizm znajduje mocne oparcie w faktach znaczących triumfalny szlak żydowskiej ofensywy gospodarczej.

Dokładne zapoznanie się ze skomplikowaną problematyką społeczną Palestyny pomaga w rozumieniu stanowiska Rosji Sowieckiej wobec żydowskich i arabskich postulatów. Na forum ONZ Związek Radziecki dobitnie akcentował swój przychylny stosunek do roszczeń obu stron, co miało się wyrazić w żądaniu natychmiastowego opuszczenia Palestyny przez armię i administrację brytyjską oraz w lansowaniu koncepcji niezawisłego państwa dwunarodowego, w którym Żydzi i Arabowie byliby całkowicie równouprawnieni. Dopiero doraźna niemożliwość realizacji tego planu skłoniła Rosję do udzielenia pełnego poparcia projektowi podziału interpretowanemu przez Związek Radziecki jako zło konieczne.

Rosja dba o zachowanie postawy życzliwie neutralnej zarówno wobec Żydów jak i Arabów. Zjednoczona Partia Robotnicza powstała z fuzji skrajnie lewicowych „Poalej Syjonu" oraz „Haszomer - Hacair", nie uzyskała ani jednej teki ministerialnej w rządzie Ben Guriona. Erec Izrael jest rządzone przez koalicję, której trzon stanowią „Ogólni syjoniści", socjaldemokraci tzw. „Mapai" oraz stronnictwo „Mizrachi" — religijnie zabarwiony odłam syjonistów. Partie wchodzące w skład koalicji zwłaszcza zaś „Ogólni Syjoniści", których leader dr Chaim Weizman obrany obecnie prez. Izraela był przed paru dniami gościem Białego Domu cieszą się, szeroko rozgałęzionymi stosunkami w USA. Do niedawna musiały one przeciwstawiać się gwałtownym atakom tak z lewa jak i z prawa i jedynie konieczność prowadzenia wspólnej walki zbrojnej wpłynęła na czasowe zawieszenie broni między antagonistami.

Zmarłego podczas wojny Włodzimierza Żabotyńskiego uważa się powszechnie za ojca współczesnych ruchów rewizjonistycznych i protoplastę skrajnie prawicowych organizacji „Irgun Zwei Leumi" i tzw. „Grupy Sterna" (Lochmei Chejruth Jisrael" — czyli „Bojownicy o wolność Izraela"). Obecnie zbrojne ramię Agencji Żydowskiej Haganah współpracuje ściśle z wymienionymi organizacjami w ramach jednolitej Armii Żydowskiej.

DIVIDE ET IMPERA

Bliskość Kanału Sueskiego, rurociąg naftowy łączący Kirkuk z Morzem Śródziemnym, rafinerie Haify i wreszcie położenie na skrzyżowaniu ważnych szlaków komunikacyjnych czynią Palestynę smacznym kąskiem dla wszelkiego typu ambicyj imperialnych. Trzebaby oddzielnego studium, żeby choć z grubsza naszkicować przebieg wydarzeń, które miały miejsce w ciągu 30 lat panowania brytyjskiego.

Okres, jaki dzieli wkroczenie wojsk generała Allenby w r. 1918 do Palestyny i odtrąbienie mandatu przez kobziarza wysokogórskiej piechoty szkockiej z galerii gmachu rządowego w Jerozolimie, pamiętnego piątku 1948 r. — słusznie

ADRES DZIAŁACZY I PISARZY KATOLICKICH

Dnia 7 czerwca został złożony w sekretariacie Jego Eminencji Ks. Kardynała Prymasa Augusta Hlonda adres do Jego Świętobliwości Ojca Św. Piusa XII.

Adres daje wyraz moralnym uprawnieniom Polski do granicy na Odrze i Nysie, akcentuje zgodną wolę społeczeństwa polskiego obrony tej granicy, podkreślając jednocześnie cześć i synowskie oddanie katolików polskich dla Ojca Świętego.

Adres do Jego Świętobliwości Piusa XII podpisali dotychczas:

Bieńkowski Witold
Bocheński Aleksander
Chaciński Józef
Ciechanowiecki Andrzej
Dobraczyński Jan
Dolański Seweryn
Filipowicz Zygmunt
Frankowski Jan
Gołubiew Antoni
Grabski Władysław Jan
Górski Jerzy Andrzej
Hagmajer Jerzy
Horodyński Dominik
Jakimiak Zygmunt
Jankowski Jan
Jasienica Paweł
Jeleński Szczepan
Johelsen Andrzej
Karski Szymon
Kętrzyński Wojciech
Kisielewski Stefan
Kononowicz Józef Maciej
Konopka Stanisław
Koźniewski Kazimierz
Krasiński Andrzej
Kurzyna Mieczysław
Łaszowski Alfred
Łempicki August
Łubieńska Róża
Łubieński Konstanty
Majdański Walenty
Makarczyk Janusz
Malewska Hanna
Markowski Mieczysław
Meysztowicz Jan
Micewski Andrzej
Morstin-Górska Maria
Osmańczyk Edmund
Paukszta Eugeniusz
Piasecki Bolesław
Podlewski Stanisław
Przetakiewicz Zygmunt
Rey Tadeusz
Rodowicz Kazimierz
Rostworowski Stanisław Kostka
Rostworowski Nik
Starowiejska-Morstinowa Zofia
Stomma Stanisław
Turowicz Jerzy
Winkler-Augustowski Kazimierz
Wolter Władysław
Zawieyski Jerzy
Żukrowski Wojciech

ktoś nazwał okresem rozruchów arabskich, protestów żydowskich i białych ksiąg rządu angielskiego. W. Brytania rozstaje się z mandatem niechętnie. Ostatnio polityka angielska stawia na konia arabskiego. Wyraża się to w czułej opiece roztoczonej nad powstałą wiosną 1945 r. Ligą Państw Arabskich. W skład Ligi wchodzą Egipt, Syria, Liban, Irak, Transjordania, Jemen i Arabia Saudyjska. Państwa te skłócone ze sobą, przeważnie na tle odmiennych sympatii dynastycznych, połączyły się w celu rugowania niepożądanych wpływów mocarstw kolonialnych. Pośrednie więc ostrze układu było zwrócone przeciw W. Brytanii. Anglii jednak udało się je stępić, skierowując uwagę Ligi na problem żydowski. Namiętności na podowo - wyzwoleńczego ruchu arabskiego grają w ten sposób potrójnie na korzyść Brytyjczyków: Wyładowują się nie na Anglii, któ cą świat arabski ze Stanami Zjednoczonymi, protegującymi Żydów, wreszcie dowodzą konieczności powołania mediatora. Któż bardziej od Anglików dorósł do tej misji?

Gra jest niebezpieczna. Za wiele kasztanów piecze się przy tym ogniu. Największej precyzji działania wymaga subtelna rozgrywka partii orientalnej. Kiedy wbrew postanowieniom mandatowym W. Brytania powołała do życia marionetkową Transjordanię, plany brytyjskie wybiegały daleko poza doraźne interesy Anglików w Palestynie:

Wśród przywódców świata arabskiego posiada W. Brytania wielu zażartych wrogów. Do nich należy m. in. dynastia egipska, ród Husseinich z Wielkim Mufti Jerozolimy Haj-Amin-Ele-Husseini na czele, oraz całkowicie wyemancypowany stawiający na USA — Ibn Saud. W tej chwili podporą „opieki" brytyjskiej jest możny ród Chaszimitów, którego wojowniczy przedstawiciel Abdullah, król Transjordanii chciałby połączyć pod swym berłem prócz dużej części Palestyny również Syrię i Liban. Oczywiście większość państewek Ligi czuje się podobną perspektywą zaniepokojona i plan tzw. Wielkiej Syrii, mającej odegrać rolę angielskiego brytana na Bliskim Wschodzie nie cieszy się zbytnią popularnością pośród przywódców świata muzułmańskiego.

RODOWÓD PODZIAŁU

W płaszczyźnie międzynarodowej konflikt żydowsko-arabski znajduje swe naturalne przedłużenie w rozgrywce Londyn — Waszyngton. Politykę Stanów cechują nerwowe usiłowania, by za wszelką cenę przynajmniej dorównać W. Brytanii w jej możliwościach faktycznego decydowania o Palestynie. Występowanie w charakterze protektora ruchu syjonistycznego daje USA tę wymarzoną odskocznię do bezpośredniego wglądu w sprawy Bliskiego Wschodu. Cele obu mocarstw są jak widzimy zgoła egoistyczne, z tą może korektą na korzyść Ameryki, że w jej poparciu udzielanemu syjonizmowi jest coś z rzeczywistego sentymentu. Nie zapominajmy przy tym, że sprawa żydowska stanowi dla Amerykanów również nader ważki problem wewnętrzny. Przy wyborach na prezydenta 5 milionów głosów żydowskich, nie jest cyfrą, którą można bezkarnie lekceważyć.

Kiedy na listopadowej sesji ONZ Ameryka opowiadała się za podziałem Palestyny na dwa państwa arabskie i żydowskie, była w tym szczęśliwym położeniu, że mogła razić Anglików ich własną bronią, nawiązując do sformułowań brytyjskich sprzed 11 lat. Mało kto pamięta, jak to w r. 1936 w obliczu powszechnego strajku proklamowanego przez Arabów, rząd brytyjski delegował do Palestyny specjalną komisję pod przewodnictwem lorda Peela i mało kto pamięta diagnozę tej komisji oraz sensacyjną receptę przezeń zaleconą. Na szczęście dochowała się do dziś dnia Niebieska Księga, w której Peel and Comp. stwierdzają, że mandat brytyjski okazał się niewykonalny z powodu sprzecznych przyrzeczeń udzielonych Arabom i Żydom. Peel proponuje w związku z tym rządowi Jego Królewskiej Mości zrzeczenie się mandatu i podział Palestyny na dwa samodzielne państwa z wyłączeniem Jerozolimy ze względów religijnych. W. Brytania wyraziła wtedy teoretyczną zgodę na zalecenia Niebieskiej Księgi. Praktycznie jednak miały się one zrealizować dopiero w wyniku decyzji Organizacji Narodów Zjednoczonych. 29 listopada 1947 r. jest dniem historycznej uchwały o podziale i wygaśnięciu brytyjskiego mandatu. Żydom przypaść ma wschodnia część Galilei, zachodnia cześć środkowej Palestyny z portami Haifa i Tel-Aviv oraz południowo-wschodnie połacie pustynnego Negebu. Arabowie mają, w myśl uchwały ONZ, otrzymać wschodnią część Galilei, wschodnią część Palestyny środkowej i południowe wybrzeże z portem Gaza. Jerozolima ma być wolnym miastem wyodrębnionym politycznie i administracyjnie z reszty kraju.

Plan ONZ przewidywał 2-letni okres przejściowy, w czasie którego Org. Nar. Zjedn. będzie wykonywała władzę zwierzchnią nad Palestyną. Ten ostatni punkt pełnił w marzeniach Amerykanów legendarną rolę konia trojańskiego, dzięki któremu Stany Zjednoczone pewną stopą mogłyby wreszcie stanąć na wsch. wybrzeżu Morza Śródziemnego. Zarówno Liga Arabska jak i egzekutywa Światowego Kongresu Syjonistycznego zaoponowały gwałtownie przeciw projektowi opieki, jako kwestionującemu natychmiastową zdolność Arabów i Żydów do kształtowania niezależnego bytu państwowego. Tym może należy tłumaczyć ostatni nieudały manewr USA, które na krótko przed 15 maja, tj. datą wygaśnięcia mandatu, wystąpiły z nieoczekiwaną propozycją rewizji uchwały o podziale i nową koncepcją narzucenia Palestynie systemu powiernictwa ONZ. Wystąpienie Ameryki miało również wszelkie pozory manewru antysowieckiego. W Radzie Powierniczej nie zasiadał wówczas przedstawiciel ZSRR. Ewentualne wysłanie wojsk międzynarodowych w celu przyprowadzenia porządku w Palestynie, dałoby amerykańskim siłom zbrojnym okazję do uczestniczenia w tej ponętnej imprezie, przy czym Rosja nieobecna w Radzie nie miałaby tu wiele do powiedzenia. Rząd sowiecki zareagował natychmiast, mianując swego stałego delegata w Radzie Powierniczej w osobie Carapkina. Amerykanie obla ni zimnym tuszem rosyjskim, nieco ochłodli w swych rewizjonistycznych zapędach. Cała sprawa przycichła i w rezultacie negatywnego stanowiska większości członków Rady Bezpieczeństwa z Rosją i W. Brytanią na czele doczekała się faktycznego rozwiązania, które przyniósł 15 maja.

AGRESJA ARABSKA

Arabowie są zdecydowanymi przeciwnikami podziału. Ich odpowiedzią na proklamację Erec-Izrael był koncentryczny atak na Palestynę dokonany przez wojska Egiptu, Transjordanii, Syrii, Iraku i Libanu.

Ogólna ilość wojsk regularnych wszystkich krajów Ligi nie przekracza 150 tys. Rzecz jasna, żadne z państewek arabskich nie ogołoci się z sił zbrojnych całkowicie. Na froncie palestyńskim może być więc użyta plus-minus 100-tysięczna armia arabska. Haganah dorównuje jej liczebnie, ale znikoma ilość ciężkiego sprzętu artyleryjskiego, czołgów i samolotów czyni ją częstokroć bezsilną. Sądząc z dotychczasowego zachowania Arabów, atak będzie kontynuowany. Na razie można zanotować na arabskim koncie, zdobycie przez armię egipską pustynnego Negebu oraz dosyć istotne postępy Legionu Transjordańskiego w rejonie Betlejem. Stosunkowo najmniejsze są osiągnięcia armii syryjsko-irackiej na froncie północnym.

Armie arabskie dysponują łącznie 200 — 300 samolotami. Właściwie tylko 12-tysięczny Legion Transjordański przedstawia poważniejszą siłę militarną. Jest bowiem nowocześnie uzbrojony i wyekwipowany przez Anglików. Reszta wojsk Ligi wykazuje często kompletny brak znajomości w obchodzeniu się z nowoczesnym sprzętem wojennym i jak skarży się prasa iracka, — nie posiada go w zbyt dużej ilości. Wyróżnienie Legionu Transjordańskiego, który walczy pod dowództwem brytyjskiego oficera Glubb-Paszy, na pewno nie jest przypadkowe. Dowodzi ono raz jeszcze, że rola wojsk Abdullaha nie skończy się na operacjach palestyńskich.

Niedawno prasa nasza doniosła o oświadczeniu rzecznika brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, który miał się wyrazić, że „utrzymanie przyjaznych stosunków między W. Brytanią i Arabami jest konieczne dla ochrony Środkowego Wschodu przed pochodem komunizmu".

Rosja była jednym z pierwszych państw, które uznały Erec-Izrael. Stany Zjednoczone uczyniły ten krok zaledwie w parę minut po proklamacji państwa żydowskiego. Lista państw, jakie poszły za przykładem Stanów przedstawia się następująco: Czechosłowacja, Jugosławia, Kolumbia, Nikaragua, Paragwaj, Polska, Unia Południowo-Amerykańska, ZSRR. Charakterystyczne jest stanowisko brytyjskich dominiów, z których jedno, tj. Unia Południowo - Afrykańska uznało państwo Izraela, a dwa inne jak Kanada i Australia zapowiedziały, że uczynią to w najbliższym czasie. Czyżby znajdowała w tym swe potwierdzenie teza o rugowaniu wpływu brytyjskiego w dominiach przez Amerykanów, szykujących się do przejęcia spadku po Imperium?..

Jak dotąd, enigmatyczne jest stanowisko Francji, oscylującej między amerykańskim i brytyjskim punktem widzenia.

Żydzi palestyńscy znaleźli się w położeniu doraźnie krytycznym. Duży zasób ich nadziei spoczywa w Stanach, które zapowiadają zniesienie embarga na wywóz broni do Palestyny. Podczas ostatniej wizyty w Białym Domu, prezydent Izraela dr Chaim Weizman uzyskał od prezydenta Trumana obietnicę pożyczki w wys. 90 — 100 milionów dolarów. 4 czerwca Truman rozpoczyna formalną kampanię wyborczą. Należy się spodziewać, że fakt ten odbije się raczej korzystnie na interesach żydowskich.

Jak widzimy sytuacja Izraela nie jest prosta. Zbyt wiele czynników posiada moc decydowania o losach niezawisłego państwa żydowskiego. Interesy brytyjskie krzyżują się w Palestynie z interesami USA, a oby dwa imperializmy anglosaskie rozgrywają równocześnie wspólną partię antysowiecką. Na nieszczęście dla Żydów Palestyna jest tylko obiektem małej gry USA contra W. Brytania. Wielka gra, która jedynie może zadecydować przebiega nieco inaczej.

Tymczasem trwa walka. Oddziały Haganah stawiają czoło lepiej uzbrojonemu przeciwnikowi, cofają się, znów atakują. W komunikatach bojowych przewijają się nieustannie nazwy miejscowości tak dobrze znanych z Pisma Świętego. W rejonie Jeryho rozpoczął się marsz wojsk Abdullaha, Betlejem — widownią zaciekłej bitwy z Legionem Transjordańskim, w Jerozolimie potrójny pierścień wzajemnie wyżynających się Żydów i Arabów.

Ziemi Świętej to nie pierwszyzna. Widziała Nabochudonozora, Syryjczyków, Rzymian, Arabów, Franków, Turków, Anglików... Wielokrotnie spływała krwią. Powstanie Machabeuszów w VI w. przed Chr., powstanie Bar Kochby w latach 132 — 135 po Nar. Chrystusa. Machabeusze wypędzili Syryjczyków, Bar Kochba uległ rzymskim legionom. Czyj geniusz znajdzie swe wcielenie w Dawidzie Ben Gurionie?

TRZY PALESTYNY

Natężenie konfliktu arabsko-żydowskiego sprzyja odwróceniu naszej uwagi od, nieobojętnej dla katolików, sprawy chrześcijańskich sanktuariów Ziemi Świętej. Mimo przegrody wieków dzielącej nas od czasu wypraw krzyżowych aktualność zagadnienia ani o jotę nie została umniejszona. Przeciwnie, teraz bardziej niż kiedykolwiek musi nas niepokoić los Groty Narodzenia w Betelejem, Bazyliki Grobu Chrystusa w Jerozolimie czy Grobu Matki Bożej w dolinie Cedronu. W pewnym bowiem sensie wszyscy czujemy się obywatelami kraju, znaczonego boskimi śladami stóp Chrystusowych.

Cenne uwagi na ten temat można znaleźć w artykule ks. dra Eugeniusza Dąbrowskiego pt. „Problem sanktuariów chrześcijańskich w Palestynie a Konferencja Pokojowa", zamieszczonym latem ubiegłego roku w katolickim periodyku „Homo Dei".

Istnienie jakiegoś specjalnie katolickiego punktu widzenia na kwestię palestyńską może się wydawać co najmniej dziwne dla ludzi nawykłych do oceny wszelkich zdarzeń międzynarodowych doraźną miarą interesu politycznego. Wbrew nim, katolicki pogląd na wypadki dziejące się w Palestynie i s t n i e j e i co ważniejsze j e s t brany pod uwagę przez wszystkie, zarówno wrogie mu jak i sprzyjające czynniki, które są zdolne orzekać w sprawach Ziemi Świętej. Za dowód niech starczy chociażby ów punkt listopadowej uchwały ONZ, gdzie mowa o wyłączeniu Jerozolimy w charakterze obszaru eksterytorialnego. Nie ulega żadnej wątpliwości, że główne względy na miejsca święte, dro-gie dla całego świata podyktował wzmiankowaną rezolucję. Oświadczenie Rady Narodowej Państwa Żydowskiego z dnia 14 maja br., która proklamuje uroczyście, iż „zabezpieczy świętość i nietykalność świątyń i miejsc świętych" wymownie świadczy o rozumieniu przez rząd Ben-Guriona wagi problematyki. W depeszy ministra spraw zagranicznych Izraela — Shertoka, zabiegającego o uznanie jego rządu przez katolicką Polskę, moment ów został szczególnie mocno zaznaczony.

Niewielu z nas wie, że przejęcie Ziemi Świętej przez W. Brytanię od lipcowej uchwały Ligi Narodów z r.1922 działającej w charakterze mandatariusza, prawie wcale nie wpłynęło na zmianę stanu rzeczy w odniesieniu do chrześcijańskich sanktuariów, wytworzonego w XVI wieku przez Turków, którzy wtedy zawładnęli Palestyną.

Anglicy postanowili respektować status quo ante i do dziś dnia klucze od świętych przybytków piastuje pewna rodzina turecka obdarzona przed laty tym intratnym przywilejem. Oczywiście podobna sytuacja w żadnej mierze nie zadawala słusznych roszczeń chrześcijańskich, które wyraźną nicią przewijają się poprzez wszystkie próby uregulowania sprawy Palestyny, poprzez wszystkie negocjacje międzynarodowe. Ks. Dąbrowski przypomina nawet Wojnę krymską 1853 r., której bezpośrednią przyczyną był, jak wiadomo, zatarg o budowę kopuły Bazyliki Grobu Chrystusa. Po co jednak cofać się do tak odległych przykładów?

Na Konferencji Pokojowej w Wersalu 1919 r. sprawa sanktuariów została wniesiona formalnie do obrad jako zagadnienie odrębne i samoistne. Usiłowania te zostały jednak udaremnione przez W. Brytanię, rzeczniczkę rozpatrywania problemu chrześcijańskich świętości w ogólnych ramach traktatu z Turcją. Artykuł 96 traktatu z Sévres przewidywał nawet utworzenie przez Brytyjczyków specjalnej komisji z przewodniczącym delegowanym z ramienia Ligi Narodów, która to komisja miała się zająć przestudiowaniem i uregulowaniem sprawy sanktuariów. Kiedy lord Balfour w r. 1920 w przedłożonym przez siebie projekcie mandatu nad Palestyną precyzował brytyjski plan uregulowania problemu sanktuariów, nie oczekiwanie natknął się na ostry sprzeciw Stolicy Apostolskiej. Watykan posiada bowiem własny, maksymalistyczny punkt widzenia tych spraw, który wyklucza jakiekolwiek kompromisy tam, gdzie rozchodzi się o ojczyznę Chrystusa. W okresie międzywojennym blisko 20 brytyjskich komisji badających zagadnienie palestyńskie, w każdym sprawozdaniu traktowało o sanktuariach. W sprawozdaniu komisji ONZ z r. 1947 sprawa odżywa, żeby znaleźć swój niekompletny epilog w listopadowej uchwale o wydzieleniu Jerozolimy.

Autonomiczna organizacja Franciszkanów, tzw. Custodia Terrae Sanctae sprawująca straż nad świętymi przybytkami, w przewidywaniu konferencji pokojowej przesłała zainteresowanym rządom obszerny memoriał (Memoriale sui Luoghi Santi), w którym zostały wyłuszczone katolickie postulaty obejmujące całe zagadnienie sanktuariów. Dopóki nie zostaną one uwzględnione w sensie odpowiedniego zabezpieczenia sanktuariów i naszych praw do nich, dopóty każde rozwiązanie kwestii palestyńskiej będzie dla nas cząstkowe i absolutnie niewystarczające. Bo prócz arabskiej i żydowskiej Palestyny istnieje jeszcze trzecia Palestyna. Ta, która jest własnością ogółu katolików, duchową ojczyzną każdego z nas.

Nik Rostworowski

Wydawnictwo Mariackie

KRAKÓW, UL. SZPITALNA 2

p o l e c a :

O. Jacek Woroniecki: Kat. etyka wychowawcza, tom I (800 zł.). Nowość.
Ks Sawicki: Dlaczego wierzę (150 zł.). Nowość.
Bp. Tóth: Wierzę w Kościół Powszechny (600 zł.). Nowość.
Bp. Tóth: Chrystus w cierpieniu i chwale (700 zł.). Nowość.

Z wydawnictw poprzednich:

Ks. Winkowski: Zarys etyki i scetyki (600 zł.).
Ks. Ufniarski: Świadkowie Jehowy (300).

Cały dochód Wydawnictwa jest przeznaczony na odnowienie kościoła Najśw. Marii Panny w Krakowie.

Kazimierz Koźniewski

LIST DO EUZEBIUSZA

którego prawdopodobnie nigdy nie odbierze

Drogi Zebie!

To bardzo głupio, może nawet nietaktownie, iż w takiej właśnie chwili piszę list do Ciebie, list który może rąk Twoich — śmieszne to, prawda!— nigdy nawet nie dojdzie. Może, go nigdy nie odczytasz, choć każdą jego literkę na pewno przestudiują uważnie nasi wszyscy wzajemni i osobiści znajomi, których nie jest tak mało i którzy myślą. Dlatego piszę —i dlatego wysyłam tą przedziwną, publiczną pocztą, ten nieprzyzwoity list.

Pamiętasz pewnie ów skwarny dzień sierpnia 1945 roku, gdy siedząc na zwalonym murze na warszawskiej uliczce Frascati — gadaliśmy tak długo, aż rozeszły się nasze drogi ostatecznie. Gdyby pod ręką były jakieś drzwi, mógłbym dziś napisać, że rozstaliśmy się trzasnąwszy nimi. Owo rozstanie było przecież właśnie w tym guście. Bodaj nie podaliśmy sobie rąk — może wierząc skrycie, że niebawem jednak ktoś z nas podejdzie ku drugiemu z wyciągniętą na zgodę dłonią. Na zgodę... jego koncepcji politycznej, więcej aniżeli politycznej: narodowej, ludzkiej, ba! psychicznej nawet!

Tak się jednak nie stało. Ja nie mogłem podjąć Twoich planów nowej konspiracji. Nie zobaczyliśmy się więcej, aż do dzisiejszego ranka, gdy zawitawszy niespodziewanie do sali sądowej, pod postacią oskarżonego, określonego nieznanym mi nazwiskiem — (nigdy jakoś nie wiedziałem jak się Ty właściwie nazywasz! w roku 1943 nie pytano o nazwiska prawdziwe!) — odkryłem właśnie ciebie. Ujrzawszy mnie uśmiechnąłeś się blado i cierpko. Wydałeś mawe trochę pogardliwie usta. Wzbudziłeś tym podziw dla swego uporu, ale równocześnie... przestrach. Tak przestrach, nie tych lat więzienia oczekujących Ciebie, nie Twojej kary, ale przestrach przed Twoim wpływem na innych młodych ludzi, którzy tak bardzo są czuli na gesty i których, jako iż są nieodrodnymi synami swego narodu, tak bardzo łatwo zapalić do rzeczy zabójczych, szkodliwych, bezsensownych, jeśli tylko prezentuje się je im w pięknej aureoli jakiegoś podziemnego bohaterstwa. Wydaje mi się, iż akcja Twoja powiodła zbyt wielu na manowiec zatraty, zgoła niepotrzebnej, — bym potrafił znaleźć na nią określenie dosadniejsze, niż nazwać ją po prostu — narodowo szkodliwa.

Przykro mi, że tak właśnie muszę do Ciebie przemawiać, gdy Ty jesteś w więzieniu, a ja na wolności. Być może właśnie za cenę tej różnicy poglądów. Nawet na pewno. Wolałbym mówić Ci to wszystko — na wolności, na zwałach cegieł ładnie odbudowywującej się ul. Frascati. Powtórzyłbym z wzmożoną tym razem pewnością — moją opinię z tamtego lata. Czy będąc po dziś dzień na wolności przeciwstawiłbyś mi nadal, jak sądowi, swój upór? Chcę wierzyć, że nie!

Z tą nadzieją — wysyłam w przestrzeń ten list. Będę Cię oczekiwał spacerując po Frascati. Może Ty kiedyś przyjdziesz sam, osobiście; może przyjdą Twoi przyjaciele i dotychczasowi wyznawcy, przebywający na wolności. Może przyjdziecie, by mnie znieważyć? A może.. by mi podać w zgodzie swe ręce.

Wszystko to jest oczywiście frazes! Nie będę czekał stale na Frascati, gdyż mam wiele innych zajęć. Nikt z was mnie nie odwiedzi — ludzie niechętnie przyznają się do zmiany swych przekonań!

Niemniej — próbuję pisać. Chcę jeszcze raz powtórzyć, co powiedziałem Ci wtedy na ul. Frascati. Możeś zapomniał? Przypominania są czasem potrzebne. Nam obojgu!

Pierwszym punktem, który poruszyłem odmawiając Twej propozycji, była historia. Historia światowych rewolucji. Na historię zgadzaliśmy się obaj. Tylko co do rewolucji zdania nasze były podzielone. Ja widziałem w wypadkach zaszłych w naszym kraju na przełomie lat 1944 i 1945 nie tylko bieg wydarzeń wojennych drugiej „światówki", ale również i rewolucję, najprawdziwszą w świecie, choć przeprowadzoną nieco innymi metodami, niż używali tego poprzedni rewolucjoniści. Niewątpliwie była to jednak rewolucja. Z jej wszelkimi konsekwencjami. Rewolucja — a więc radykalne przesunięcie bytu całego społeczeństwa w ściśle określonym, i bardzo skrajnym kierunku. Rewolucja, a więc gwałtowna próba ukształtowania narodu według, bardzo sprecyzowanego, ideału. Rewolucja — a więc walka zwycięzców o czystość tego ideału. Wreszcie rewolucja — a więc i kontrrewolucja.

I rewolucja i kontrrewolucja są zjawiskami dokładnie zaobserwowanymi i uprawomocnionymi przez historię, która choć nader bogata w rozmaitość wydarzeń, jest raczej skromną w powtarzaniu typowych schematów.

Nauka historii nie kończy się na stwierdzeniu, że rewolucje i kontrrewolucje są czymś naturalnym w życiu każdego narodu. Historia nauczyła nas jeszcze czegoś więcej. Obejrzmy sobie dzieje rewolucji Cromwella, i Wielkiej Francuskiej, i Październikowej. Żadnej poważnej rewolucji — a nasza obecna, polska, niewątpliwie jest poważną — nie zniszczyła nigdy kontrrewolucja. Cromwell skutecznie zgniótł swoich przeciwników. Akcja rojalistycznych emigrantów choć tak popierana przez Anglię, Holandię, Prusy, choć dysponowała w Wandei swoją „partyzantką" — nie dała żadnego rezultatu. Denikin, Wrangel, Kołczakow i inni generałowie, choć potężnie wspomagani wojskami interwencyjnymi — nie obalili rządów październikowych. Historia bowiem powtarza swe taktyczne i ideologiczne schematy, ale nie wraca do punktów, z których odeszła. Kontrrewolucje są beznadziejnym wysiłkiem rujnującym dobro narodowe. Historia uczy nas o tym wyraźnie — ci więc co zrozumieli tę naukę — nie powinni ryzykować krwawych błędów. Gdyż wtedy postępują co najmniej nierozsądnie. Historii się kijkiem nie zawróci. Choćby tę historię tworzyły (jak to się dzieje w punktach wyjściowych każdej rewolucji) tylko stosunkowo niewielkie grupy ludzkie.

Omijając naukę historii o kontrrewolucji — postąpiłeś drogi Zebie! — po prostu głupio. Lekkomyślnie. Nierozważnie.

Rzecz w tym, że ja i podobnie myślący ludzie idziemy własną samodzielną drogą. Nie dajemy się z niej ściągnąć za poły marynarki tym, z gatunku Twoich przyjaciół czy ex-przyjaciół, — których tak denerwuje nasze uparte partycypowanie w tym życiu całego narodu. Zejść w bok — i tylko oglądać. Bardzo ciekawe — ale i nadto łatwe. Nie ulegniemy tej pokusie. Chcemy mieć nadal wpływ — większy czy mniejszy — ale wpływ, na bieg spraw naszego narodu, nie tylko spraw w skali historycznej, ale i codziennej. A będziemy go mieć tylko pod jednym warunkiem: gdy nie damy się skusić mirażami kontrrewolucji. To my właśnie nie kapitulujemy... przed życiem, gdyż ciągle tkwi w nas silna i bodaj uzasadniona wiara w nasze możliwości twórcze i współtwórcze.

Historia — to był punkt pierwszy naszych rozważań. Punktem drugim był wzgląd na narodowe dobro — materialne i biologiczne.

Jeszcze wtedy Osmańczyk nie rzucił w naród swej **„granicy krwi"** czytałeś pewnie **„Sprawy Polaków"**? byłeś na wolności, gdy się ukazały? Ale myśmy mówili o tej „granicy". Mój argument, że po wydarzeniach wojennych, po wojennym upływie krwi i zrujnowaniu mienia materialnego — po prostu nie stać nas na wojnę domową jeśli istnienia biologicznego narodu nie chcemy postawić pod znakiem zapytania — Ty zbyłeś okrutnym szyderstwem; rzekłeś, iż **„lepiej zginąć niż żyć w opresji"**, co było z Twej strony fanfaronadą. Ginąć może każdy indywidualnie — narodowi nie wolno lekceważyć swego istnienia. Pamiętasz, że nie byłem wcale zasadniczym przeciwnikiem tak zwanych wojen domowych. Owszem, dlaczego nie!? — historia zna też i ten sposób jej formowania. Rzecz w tym, że trzeba wiedzieć — gdzie i kiedy można sobie na taki luksus pozwolić. Mówię „luksus", gdyż jak powiedziałem, kontrrewolucje jako wojny domowe, nie doprowadzają do pożądanych przez kontrrewolucjonistów rezultatów. Wojna domowa — w dzisiejszej biologicznej i materialnej sytuacji narodu polskiego — to zupełna katastrofa.

A przecież na naszym pokoleniu dzieje się nie kończą.

Osmańczyk słusznie myśli, gdy upiera się przy twierdzeniu, iż nigdy nie wolno narodowi znaleźć się dobrowolnie w takiej sytuacji, by nie był już w stanie wziąć czynnego udziału w jakimś, następnym z kolei, wydarzeniu historycznym. A to nam grozi — można dziś już powiedzieć: groziło! Wydaje mi się, że w roku 1948 widmo wojny domowej znikło.

Kochany Zebie! Na to nas nie stać. Człowiek może efektownym rzutem głowy o mur — rozwalić sobie łeb. Narodowi nie wolno. Z punktu więc dobra — powtórzę — biologicznego i materialnego (te zniszczone miasta i wsie) działalność Twoja i przyjaciół Twoich była godną najsurowszego potępienia. Nie mów mi tylko — proszę — że była ona spontanicznym odruchem społeczeństwa. My wiemy, że nie była tym odruchem. Społeczeństwo, jego różne grupy, nawet i negatywnie do rządów nastawione — nie podjęły w swej masie hasła wojny domowej. Masy reagowały zdrowo — albo afirmowały rewolucję, albo walkę z nią uznały za szaleństwo. To bardzo dobrze. Zwyciężyłby doskonalej, gdybyście nie uwiedli swymi złudami garstki młodzieży.

Właśnie o młodzieży był punkt trzeci naszej rozmowy. Ten, przy którym pożegnaliśmy się ostatecznie.

Wojna z Niemcami zniszczyła nas nie tylko biologicznie, materialnie, ale i moralnie. Obserwowałeś zapewne zupełny niemal upadek zasad w młodym pokoleniu. Ty chcesz taki stan rzeczy jeszcze przedłużać? Chcesz doprowadzić do kompletnej degrengolady moralnej narodu. A czy wiesz o tym, że w ten sposób kułbyś broń przeciw każdej ideologii, nawet swojej własnej? Równocześnie z Twoim procesem odbywał się w Łodzi wstrząsający proces 45 uczniów oskarżonych o fałszowanie matur. 45 studentów zostało oskarżonych o przestępstwo będące rezultatem lekceważenia przez nich zasad prawnych obowiązujących w Polsce. I nawet nie to było najstraszniejsze, że 45 siedziało na ławie oskarżonych, ale to, że wśród publiczności rekrutującej się z młodzieży szkolnej i akademickiej przeważała zdecydowana sympatia dla oskarżonych, ba! wyczuwałem nawet podziw dla nich, w żadnym razie nie było objawów moralnego potępienia! Choć rzecz przekroczyła zwykły uczniowski figiel. I taką młodzież chcecie dalej kąpać w nurtach zwalczającej wszystko, negatywnej, konspiracji. Konspiracja jest trenigiem ryzykownym moralnie dla narodu. A pamiętaj o tym, że każdy ustrój — obojętne jaki — bazuje przede wszystkim na uczciwości i praworządności swych obywateli. Podwójna buchalteria hitleryzmu: rygoryzm prawny stosowany między Niemcami i absolutna anarchia moralna aplikowana wobec innych — zemściła się okrutnie. Zgodnie stwierdzają to obserwatorzy obyczaju moralnego w dzisiejszych, pohitlerowskich Niemczech.

Młodzież polska będzie w przyszłości taką — jakim jest dziś to społeczeństwo, które ją wychowuje. Jeśli wychowamy ją w szaleńczej, generalnej negacji — zniszczymy, wykoleimy jedno pokolenie — ba! może nawet więcej niż jedno pokolenie. Kontrrewolucja nie wychowa rzetelnych obywateli. A tych nam tak bardzo potrzeba. I dlatego nie wolno odchodzić od wychowania młodych. Należy stać przy nich — i pilnie baczyć, by wyrośli na ludzi — mówiąc banalnie — uczciwych. To jest zadanie, po równi ciążące na każdym z nas. Nie wolno obowiązku tego zbywać lekkomyślnie — dla kontrrewolucyjnych mirażu. Wychowywać musimy młodzież wśród wskazań i celów pozytywnych — a nie negatywnych. Negacja marnuje tylko ludzi.

Wtedy właśnie odszedłeś by nie mogąc iść z historią, kroczyć przeciw niej. Bez względu na straty, jakie to dla narodu polskiego oznaczać by miało.

Twój zawsze szczerze oddany

Zdebram.

KATOLICKI KLUB LITERACKI
JASNE KSIĄŻKI

Księgarnia Św. Wojciecha (Albertinum), wznawia od lipca br. swój przedwojenny Katolicki Klub Literacki, JASNE KSIĄŻKI.

Uczestnikiem Klubu może też być każdy nasz czytelnik, który do Redakcji naszej zgłosi pisemnie chęć przystąpienia do tego ideowego zespołu.

Nie wymagane są żadne przedpłaty, żadne zobowiązania terminowe!

Po wyjściu z druku każdej z książek poniżej wymienionych otrzymają wszyscy uczestnicy Klubu treściwe omówienie oraz blankiet P.K.O. z propozycją przekazania wydawnictwu jej **ceny klubowej,** która wynosić będzie najwyżej ⅔ ceny księgarnianej.

Jedynym warunkiem stawianym przez Albertinum jest, że uczestnik Klubu nie może otrzymać książki drugiej przed nabyciem pierwszej, ani trzeciej przed nabyciem pierwszych dwóch itd., Natomiast może wykupić tylko pierwszą, albo tylko dwie pierwsze, trzy pierwsze itd., nie wykupując pozostałych.

Nabywać może kolejno każdą z osobna, albo łącznie po parę lub kilka w terminach dowolnych, dla siebie wręcz najdogodniejszych. Jedynym ustalonym przez wydawcę terminem, w którym zamknięte zostaną wszelkie sprawy klubowej sprzedaży tej pierwszej serii JASNYCH KSIĄŻEK, jest dzień 1 kwietnia roku przyszłego. Po tym dniu jeśliby nawet nakłady się nie wyczerpały żadnej z książek tych nabyć nie będzie można w Klubie.

Na pierwszą Serię JASNYCH KSIĄŻEK składają się następujące utwory:

1. **Wł. Jan Grabski,** KONFESJONAŁ. Powieść z roku 1939 i z pierwszych lat wojny, skreślona niezawodnym piórem znakomitego autora „Sagi o Jarlu Broniszu", uwieńczonej nagrodą literacką „Odry".
2. **Zofia Zawiszanka,** PRZEDZIWNY WÓDZ, Powieść o św. Joannie d' Arc. Żywy, barwny autentyczny obraz triumfów tej świętej postaci, która w pierwszym zwłaszcza okresie swej działalności jest jakby jednym wielkim cudem. Doskonałe drzeworyty prof. E. Kuczyńskiego stanowią prawdziwą ozdobę książki.
3. **Pia Górska,** TARCZA I KAPTUR. Powieść o św. Franciszku z Assyżu i św. Klarze. na tle uroczych obrazów Umbrii, początek olbrzymiego ruchu franciszkańskiego. Prof E. Kuczyński w drzeworytach do tej powieści sięgnął szczytów swej sztuki graficznej.
4. **Franciszek Werfel,** PIEŚŃ O BERNADECIE. Slynna na cały świat, tłumaczona na wszystkie cywilizowane języki powieść - votum o cudownych początkach Lourdes.
5. **Adam Grzymała - Siedlecki,** NIEPOŻEGNANI. Jedyne w swoim rodzaju sylwetki kilkudziesięciu pisarzy zmarłych lub zabitych w okresie wojny, skreślone nieporównanym piórem mistrza kunsztu pisarskiego.
6. **C. S. Lewis,** LISTY STAREGO DIABŁA DO MŁODEGO. Książka, która rozeszła się w Anglii i w krajach anglosaskich w milionach egzemplarzy.

To zestawienie nazwisk, tytułów i tematów, uwydatnia dokładnie miarę, zakrój i poziom artystyczny JASNYCH KSIĄŻEK.

Nie wątpimy, że wśród czytelników naszych znajdzie się bardzo wielu chętnych nabywców wszystkich tych utworów. Prosimy więc, nie zwlekając, zgłaszać wprost do Redakcji naszej swe przystąpienie do Katolickiego Klubu Literackiego.

Inna okazja tak korzystnego nabycia tych wartościowych książek już się nie powtórzy. A poza tym, przewidywane są, dla członków Klubu różne jeszcze premie i nagrody.

W kraju...

REKRUTACJA NA WYŻSZE UCZELNIE

Na odbytej niedawno w Min. Oświaty konferencji prasowej, wiceminn. Krassowska i dyr. Michajłow poinformowali dziennikarzy o warunkach, jakie będą towarzyszyły przyjmowaniu studentów na uniwersytet w przyszłym roku akademickim.

Usiłowania Ministerstwa Oświaty zdążają ku pełnemu urzeczywistnieniu, zmiany układu społecznego młodzieży studiującej.

Bieżący rok akademicki stał się dla czynnika planującego ważnym źródłem doświadczeń, które w pewnej mierze wpłynęły na zmianę dotychczasowego punktu widzenia niektórych zagadnień z rekrutacją związanych. Tak więc Ministerstwo zarzuciło stosowany w ubiegłym roku system rezerwowania 20% miejsc dla młodzieży robotniczo-chłopskiej, która została przyjęta na wyższe uczelnie bez egzaminu wstępnego.

W przyszłym roku akademickim każdy nowowstępujący będzie poddany egzaminowi piśmiennemu na temat odpowiadający kierunkowi studiów oraz egzaminowi ustnemu z zagadnień Polski współczesnej. Od egzaminu wstępnego będą zwolnieni jedynie absolwenci wstępnego roku studiów, którzy złożyli egzamin końcowy z wynikiem pomyślnym, oraz niewielka ilość kandydatów do kompanii akademickich, zakwalifikowanych przez Min. Obrony Narodowej. Oczywiście dopuszczenie do egzaminu wstępnego będzie uwarunkowane posiadaniem świadectwa maturalnego.

Doraźnie, biorąc pod uwagę wciąż jeszcze niedostateczną przepuszczalność wyższych uczelni, dysponujących mniejszą ilością miejsc wolnych aniżeli wynosi liczba zgłoszeń — egzamin wstępny należy oceniać pozytywnie jako ważki czynnik selekcji. Natomiast nie możemy się zgodzić, żeby jak to przewiduje rozporządzenie Ministra Oświaty nawet ci, którzy otrzymali z egzaminu piśmiennego notę niedostateczną, mieli być dopuszczeni do egzaminu ustnego. W takim wypadku odpada bowiem selekcyjna przydatność egzaminu piśmiennego.

Wydaje się nam, że zgodnie z zeszłorocznymi doświadczeniami selekcja społeczna winna się dokonywać dopiero na szczeblu wyższym t.j. w odniesieniu do kandydatów, którzy przebrnęli Scylle i Charybdę egzaminu.

AKCJA UWŁASZCZENIOWA na Z. O.

Z satysfakcją należy powitać akcję uwłaszczeniową rozpoczętą w czerwcu na Ziemiach Odzyskanych, którą zostały objęte w pierwszym rzędzie poniemieckie jedno i dwurodzinne domki mieszkalne. Narazie z pośród ogólnej sumy półmiliona obiektów wystawiono już na sprzedaż 8 tys. Duża cena szacunkowa wahająca się w granicach kilku miljonów złotych odbiega od ceny nabycia, zróżniczkowanej w zależności od osoby nabywcy.

Dla świata pracy n.p. stosuje się współczynnik 5 wzgl. 6 setnych. Inicjatywa prywatna oczywiście zapłaci drożej mniej więcej: od 20 — 50 setnych. Dogodne raty (60 rat miesięcznych) czynią możliwości kupna całkowicie realnymi. Wzmiankowana akcja przebiegająca równolegle do uwłaszczeniowej akcji rolniczej nie tylko utrwala nasz stan posiadania na Z. O. wiążąc je ściśle z Macierzą, ale świadczy również o odrębności trójsektorowego modelu gospodarczego, w którym prócz systemu socjalistycznego, własność prywatna powinna odgrywać rolę niemniej ważką.

Feliks Marian Nowowiejski — Korespondencja z Poznania

O PLASTYCE POZNAŃSKIEJ

O kulturze powojennego Poznania pisać trzeba i warto. Może bowiem zbyt mało są u Was znane — nasze wysiłki. Miasto romantycznej tradycji Raczyńskich i Działyńskich, a w okresie międzywojennym środowisko głównie muzyczne, zdobyło dziś w nowych granicach kraju — położenie sprzyjające promieniowaniu kultury. Przestaliśmy być „kresami zachodnimi". Stąd rodzą się nowe ambicje, którym odpowiada praca, dokonywana często w warunkach najmniej sprzyjających materialnie.

Plastyka poznańska — bo o niej pragnę dziś poinformować — poniosła szereg dotkliwych strat, takich, jak np. zamordowanie Władysława Roguskiego na Forcie VI przez Niemców — malarza bardzo słowiańskich i pełnych słodyczy Madonn. Artysta połączył kulturę formizmu, urok prymitywu ludowego i coś indywidualnego, co zapewnia dziełu sztuki trwałą wartość. Nie ma wśród nas także Adama Hannytkiewicza, zasłużonego impresjonisty poznańskiego. Nie ma wielu innych.

Ale piszmy o żywych. Ci podzielili się na kilka grup o odmiennej ideologii plastycznej. Na aktualnej wystawie w Salonie związkowym sztuki (bo istnieje u nas taka instytucja) — rozwieszono eksponaty właśnie podług przynależności do grup. Osobno są realiści typu dość tradycyjnego, osobno klan postimpresjonistów („kapistów") — jeszcze gdzie indziej „fuszeroni" (nazwa od Fougerona, głośnego malarza najmłodszej Francji). Tych miesza się niepotrzebnie z artystami, którzy wstąpili już na ścieżkę surrealizmu.

Teraz nazwiska. Trudno mi będzie wyliczać wszystkie. List nie jest katalogiem. Ograniczę się tedy do paru artystów, zaznaczając, że mamy poza tym jeszcze sporo innych, także twórczo pracujących „na niwie". Realistyczną wizję przedmiotu — realistyczną w sensie podkreślania jego cech obiektywnych — posiadają w większym lub mniejszym stopniu: Bronisław Bartel (vide wystawa jubileuszowa), Zofia Dziurzyńska - Rosińska, Wanda Chełmońska... Dla postimpresjonistów, malujących à la Bonnard i Vuillard, ale także wzorujących się na Cézanne'ie, i potrosze na Van Goghu — przedmiot staje się tylko pretekstem gry barwnej. Jabłko lub twarz, gitara lub pejzaż roztapiają się w symfonii plam. Stanisław Szczepański, Józef Krzyżański, Stan. Teisseyre, H. Polański, Florian Klemiński — oto przedstawiciele tego kierunku. Ostatnio zadebiutował w tejże grupie — Zdzisław Kępiński (szczęśliwie).

Charakterystyczne rozbijanie płaszczyzny na mozaikę, technika dywizjonizmu i pointylizmu ustępują w obrazach Mariana Szmandy i Jana Piaseckiego — stylowi poniekąd „witrażowemu". Artyści ci stanowią przejście między postimpresjonizmem, a jeszcze inną grupą poznańską. Już fruwające „Anioły" Szmandy kłaniają się w stronę surrealizmu. Niemniej prawidła, jakie ustanowili: Matisse, dzicy „fowiści" i ci plastycy Francji, których oglądaliśmy niedawno na wystawie objazdowej Warszawa — Poznań — pozostają w swojej mocy.

Przechodzimy do surrealizmu. Że kapistowsko - fougerońskie zasady nie wyczerpują jeszcze wszystkich możliwości, jakie roztaczają się przed nowoczesnym artystą, (który nie chce być fotografem) — świadczyła na naszym gruncie przede wszystkim twórczość Jana Spychalskiego. Ten malarz — niedawno zmarły — zjednoczył w swojej twórczości „dyletantyzm" à la Henryk Rousseau — Celnik z tonem surrealistyczno - mistycznym obrazów takich jak „Walka Jakóba z aniołem" i inne. Duch Spychalskiego patronuje kilku młodszym nowatorom. Z początkiem sezonu wystawili swoje prace na osobnej wystawie w Salonie związkowym: Alfred Lenica, Ildefons Houwalt i niżej podpisany. Tworzenie obrazu przez zderzanie „przedmiotów sprzecznych" i reminiscencje marzeń sennych, widoki z pod mikroskopu i przeciwgeometryczne abstrakcje bardzo wówczas epatowały. „Dążenie do realizmu poprzez zdobycze nowoczesnego malarstwa z surrealizmem włącznie" — tak określali kierunek swój owi malarze.

Ostatnio zbliżył się do nich Zygfryd Wieczorek, projektując dekoracje do „Swantewita" w Operze Poznańskiej. W ogóle konkurs na te dekoracje i wystawa rezultatów (trwająca niestety tylko trzy dni) — okazały się sukursem dla najmłodszych plastyków Poznania i ujawniły tendencję surrealistyczną całego szeregu prac, nadesłanych z różnych stron Polski. Do Poznańczyków można zaliczyć również Jerzego Kujawskiego malarza o powyższym nastawieniu, który zaprezentował się już w Warszawie.

Teraz możecie oglądać prace A Lenicy przy ul. Królewskiej 13. Z tej okazji kilka słów o ich autorze. Zdobył on ostatnio razem z Wieczorkiem drugą nagrodę (po Jaremiance) na konkursie „swantewitowym" i jeszcze na „olimpijskim" w Warszawie (za obraz na temat sportowy). Należy do ciekawych zjawisk artystycznych w skali ogólnopolskiej. Wystawa warszawska nie wydaje się być najlepszym wyborem prac (artysta bardzo płodny rzadko bywa krytyczny). Niemniej pokazuje ona stopniowe rozpętywanie się Lenicy do koncepcyj z r. 1948, będących jak dotąd punktem kulminacyjnym tego rozwoju.

W Lenicy jest niewątpliwe coś z ludowego malarza, podkreślającego czarną obwódką figury świętych na szkle. Czyżby istniał jakiś rys religijny w twórczości tego artysty? — Pytanie może paradoksalne w odniesieniu do autora Marsylianki z czerwoną chorągwią itp. obrazów, jakie często spotykamy u Lenicy jeszcze od czasów przedwojennych. A jednak „Rodzina" wystawiona w Salonie Ogólnopolskim 1947 ma w swoich liniach spokojnych i hieratycznym akordzie barw — jakby pierwiastek religijnej monumentalistyki i

Prof. Dr Jan Czekanowski

Przemówienie*)

wygłoszone na uroczystości wręczenia nagr. im. Włod. Pietrzaka

Proszę Państwa!

Że profesorowie są starymi nudziarzami, jest to rzecz powszechnie znana. Mają oni bowiem zwyczaj rozwlekłego mówienia o rzeczach na ogół znanych, wierząc przy tym szczerze, iż jedynie ich wersja zasługuje uwzględnienia jako obiektywnie uzasadniona. Przypuszczalnie i ja nie będę pod tym względem należał do wyjątków. Skoro jednak przemówienie krótkie i dobre uważa się za najlepsze, a krótkie i liche jest lepsze od dobrego i długiego, to postaram się przynajmniej o osiągnięcie tej drugiej lokaty.

Ponieważ przy tej uroczystej okazji mam opowiadać o sobie, to zacznę od zaznaczenia, że w ciągu przeszło czterdziestu lat starałem się walczyć o zwyczajny zdrowy sens, gdyż i na terenie nauki ma się dość dużo okazji po temu. Bardzo wcześnie miałem bowiem możność zorientowania się, że nawet i w antropologii, uważanej powszechnie za naukę młodą, siłą bezwładności utrzymuje się dużo przestarzałych poglądów. Wystarczy tu wspomnieć, iż do niedawna w podręcznikach geografii, popularyzujących podstawowe wiadomości o człowieku, utrzymywały się poglądy Linneusza w redakcji nadanej im przez Blumenbacha z roku 1776, unaoczniając naszą bezkrytyczną zależność od nauki niemieckiej. Przykładów tego rodzaju można by przytoczyć więcej, gdyż w podobny sposób, aż do lat ostatnich, na terenie slawistyki kształtowały się nasze poglądy na praojczyznę Słowian. W podjętej przeze mnie walce nie chodziło jednak tylko o usunięcie tego rodzaju przelawów uczonego konserwatyzmu. Jeszcze istotniejszą była sprawa przebudowy antropologii na nowoczesną naukę ścisłą, zdolną do skutecznego przeciwstawienia się dyletantom, wykazującym wielką pomysłowość przy próbach wyzyskania autorytetu nauki dla celów ubocznych.

Gdy rozpoczynałem moje studia antropologia miała już za sobą dwie takie walne rozprawy z dyletantami. W drugiej połowie zeszłego stulecia przedmiotem powszechnego zainteresowania stało się rozważanie pokrewieństwa człowieka z małpami. Okazało się wtedy, iż wielu odczuwało to pokrewieństwo bardzo żywo, gdyż w każdym tkwi dość dużo snobizmu, skłaniającego do studiów genealogicznych. Niestety dyletanci podjęli próbę praktycznego wyzyskania tych zdawałoby się niewinnych rozważań teoretycznych. Lansowano więc nie tylko tezę, że rodzaj ludzki składa się z kilku odrębnych gatunków, lecz ponadto, na podstawie wyników badań anatomicznych, zaczęto uzasadniać pogląd, że Murzyni są gatunkiem bliżej spokrewnionym z małpami aniżeli człowiek biały. W ten sposób podjęto próbę „naukowego" uzasadnienia niewolnictwa i usprawiedliwienia staroświeckich praktyk kolonialnych. Oczywiście żarliwymi propagatorami tych nowych tez byli ludzie pozostający w sferze wpływów bezpośrednio zainteresowanych, to znaczy plantatorów, którym zniesienie niewolnictwa zagrażało ruiną. Dyskusję tę zdezaktualizowało orężne zwycięstwo Stanów Północnych w Amerykańskiej wojnie secesyjnej. Dopiero wtedy uświadomiono sobie, że utożsamianie podobieństwa z pokrewieństwem może stanowić podstawę bardzo niebezpiecznych spekulacji, godzących nie tylko w Kościół, obstający przy tezie jedności rodzaju ludzkiego, przez nowoczesną antropologię nie kwestionowanej.

W latach osiemdziesiątych nie mniejsze roznamiętnienie w kołach antropologizujących dyletantów spowodowała teoria „urodzonego zbrodniarza" propagowana przez włoskiego psychiatrę Cesare Lombroso, obdarzonego wielkim talentem publicystycznym. Przenosząc do dziedziny zagadnień społecznych z biologii zaczerpnięte pojęcie atawizmu, sugerował on pogląd, że przestępca świata cywilizowanego jest reliktem stosunków pierwotnych, odżywającym na terenie nowoczesnego społeczeństwa, reprezentującego wyższe formy rozwoju. Absurdalna ta teoria, zrodzona z zupełnej nieznajomości tzw. „człowieka dzikiego", była oczywiście niebezpiecznym wytworem dyletantyzmu. Zagrażała ona bowiem nie tylko losom krajowców, eksploatowanym w koloniach, spychając ich lekkomyślnie do poziomu świata przestępczego, ponadto swoim predestynocjonizmem uderzało ono w podstawy kodeksu karnego, stanowiącego jedną z gwarancji swobód obywatelskich świata cywilizowanego.

Gdy z początkiem bieżącego stulecia przez dyletantów propagowany rasizm zaczął się stawać popularny, nie zdawano sobie jeszcze sprawy z tego, że myślenie kategoriami darwinistycznego selekcjonizmu w sprawach ludzkich może doprowadzić do masowego ludobójstwa. Tym niemniej moi nauczyciele ustosunkowali się do nowinkarzy bardzo krytycznie i uznali, że autorytatywnie przeciwstawienie się wymaga odpowiedniego przygotowania. Tym się tłumaczy, że już tak wcześnie zająłem się zagadnieniem przebudowy antropologii na nowoczesną naukę ścisłą, opartą na wynikach badań nad dziedzicznością. Ponadto, licząc się z faktem, że propagatorami rasizmu byli przede wszystkim niemieccy nacjonaliści, ześrodkowałem się na wyjaśnianiu stosunków antropologicznych Europy, ze szczególnym uwzględnieniem Polski. To pozwoliło na wykazanie, że nawet i przy wartościowaniu ludności europejskiej kategoriami rasizmu, brak podstaw naukowych, które mogłyby uzasadnić nadczłowieczeńskie aspiracje narodu niemieckiego. W ten sposób antropologia polska stała się najpoważniejszym obiektywnym krytykiem rasizmu.

Przypuszczalnie temu, że w ciągu ostatnich lat trzydziestu tego rodzaju zagadnieniami zanudzałem uczniów, nie krępując ich indywidualności, zawdzięczam to, że obecnie znalazłem się tu w gronie laureatów, za co szczerze jestem wdzięczny.

Jan Czekanowski

*) Przemówienie prof. Jana Czekanowskiego drukujemy z opóźnieniem wynikłym z przyczyn od nas niezależnych, za które jednak naszych Czytelników przepraszamy.

Redakcja.

OFIARA złożona na Katolicki Uniwersytet Lubelski
Konto P. K. O. to wyraz troski II-153 w Lublinie.
o ideały naszej młodzieży

Andrzej Chciuk

ŚWIĘTE MARYJE OD MORZA

Reportaż z Francji

Cygański odpust Świętych Maryj od Morza jest najbardziej malowniczym świętem Europy, jest to w prowansalskim kalendarzu dzień chyba największy i najradośniejszy. Z Prowansji, z Langwedocji, z Kastylii, Katalonii, Piemontu, a nierzadko i z Węgier ciągną wszystkimi szlakami Francji i Nawarry do piaszczystej i stepowej Camargue Cyganie i turyści na cygański odpust, na cygańskie święto.

Przez stepy i gaje oliwkowe, mijając ruiny aren Arles i Nimes, mijając zwaliska rzymskich akwedyktów i budowli ciągną karawany smagłych i dorodnych ludzi, kolorowe aż do bólu w oczach, radosne i dumne, często konno i pierwotnie na dwukołowych zaprzęgach, najczęściej w jaskrawo malowanych wozach cyrkowych i budach, a czasem w autach z przyczepkami — od pierwszych Fordów do najnowocześniejszych Cadillaców z domkami campingowymi. Włóczęgi, wróżbiarze, cyrkowcy, pastuchy, koszykarze, wyplatacze i naprawiacze plecionych krzeseł, znów akrobaci i wróżki, wydrwigrosze, franty i pędziwiatry dróg Południa, spokojni szklarze, handlarze orzeszkami, koniokrady i znów cyrkowcy — cały cygański lud, barwny wędrowny lud Południa — wszyscy dążą do Kamargii.

Dnie 24 i 25 maja ucieleśniają co roku więcej niż prawdę i więcej niż legendę. W życiu cygańskiego rodu jest to dzień jedyny w roku: święto ognia i wody, pozostałość z pogańskich jeszcze czasów i święto niezwykle czczonej królowej Sary, świętej w Kościele katolickim. Dziewiętnaście wieków temu, po ukrzyżowaniu Chrystusa, przyjęła ona święte Maryje i kilku uczniów Chrystusowych, którzy uciekli przed prześladowaniami w Galilei. Ci nawrócili ją, pogańską królowę Cyganów, na wiarę chrześcijańską.

U ujścia Rodanu, jak mówią stare kroniki, wylądowała pewnego dnia barka bez żagli, „pchana dmuchaniem anielskim“, wiatrem, który, jak mówią inne stare pergaminowe księgi, „spadł z najspokojniejszego kąta róży wiatrów“. Na piaskach Kamargii wysiadły Maria Jakubowa, siostra N. M. Panny, Maria Salomea, matka apostołów Jana i Jakuba, był tamże i wskrzeszony przez Jezusa Łazarz, była Maria Magdalena, grzesznica, co włosami stopy Chrystusowe wycierała i jej siostra Marta (obie siostry Łazarzowe), byli bliżej nieznani Maksymin i Sydoniusz i byli inni, których imion nie zatrzymały ni legendy, ni kroniki. Uczniowie Chrystusowi rozeszli się głosić słowo Boże, Maksymin i Sydoniusz poszli z Ewangelią do Aix, Łazarz kazał w Marsylii, podobnej wówczas niemal Sodomie i Gomorze, Maria Magdalena przez trzydzieści lat żyła w pustelni swej w ustroniu, co dziś zwie się Ste Baume, a Marta — według legendy — wyzwoliła Tarascon od smoka. Jedynie dwie Marie. Salome i Jakubowa zostały z Sarą w Kamargii, gdzie wiele dobrego zdziałały i zmarły „piękną śmiercią“, jak mówi znów kronika.

Legenda, powstała o nich na spalonej słońcem i równej jak dłoń wyspie, objętej ramionami Rodanu, była piękna i ozdabiana wariantami pokoleń, tak, że król René Prowansalski, niedowiarek i sam rybałt pierwszej wody, chciał sprawdzić ją, by mieć temat do gędźby i rapsodów i tak oto, cierpliwa legenda ujawniła się w prawdzie: w roku 1448 odkryto szczątki barki i trumny Sary i obu Maryj.

Sara była królową Karaków, jak gwara prowansalska zwie Gitanów, Bohemów — Cyganów. Była ich królową i uważają ją oni za swą patronkę i orędowniczkę. W przysypanej od wieków piaskiem krypcie jej grobowca, na ruinach świątyń, kolejno tam wznoszonych, sejm cygański wybierał swych królów i wodzów. Zwyczaj ten przetrwał wieki wojen, zaraz, głodów i prześladowań, a kult świętej Sary Egipcjanki jest wśród Cyganów tak wielki, że w procesjach świąt Maryj od Morza biorą udział Cyganie ateiści, protestanci i badacze Pisma św. pospołu z katolikami. Przy urnie z relikwiami Sary godzą waśnie, załatwiają swe sprawy i wybierają naczelników poszczególnych gałęzi plemienia. Przez dwa dni i noc śpiewają przy niej stare kantyczki i litanie, które z nimi szły ze stepów Azji i z puszty z nad Balatonu i towarzyszą obecnie na wszystkich drogach włóczęgi.

Arcybiskup z Aix ogłasza wśród nocy — a noc jest wysoka i usiana ostrymi gwiazdami — że ceremonia wkrótce się zacznie, że relikwie za chwilę ruszą w doroczną procesję. Katalońskie i prowansalskie kantyczki wzmagają się, jedne następują po drugich. Napięcie i ekstaza tłumu szczepu Romanich, który podlejszego urodzenia Cyganów, turystów i dziennikarzy, spycha w mrok świątyni i poza jej obręb, wzrastają i drżą jak zbliżający się grzmot. To jest moment kulminacyjny.

— Niech żyją święte Maryje! — przelatuje okrzyk.

— Wiwat święta Sara! — odpowiadają Romani.

Tłum jak gorączka płonie i rzuca się dreszczem. Faluje i ledwo dech łapie w płuca. Pasja i temperament Południa i Cygana, wraz z ekstazą bezpańskiej włóczęgi wyładowują się z całą żywiołowością. Nie ma tu nic sztucznego. Jest prostota i uduchowienie jak na twarzach obrazów Goyi. Nie ma tu nic wulgarnego, ani wymuszonego. Nie ma tylko ciszy. Ale każ tu Cyganowi być cicho, gdy przeżywa swe ponadgraniczne święto wspólnoty, gdy czci swą patronkę i opiekunkę, gdy sama noc odpustu jest duszna i parna, budząca namiętność i płomień. Ze stepu dmie gorący mistral, gdzieś rżą niespokojnie konie i pojękują muły. Ten okrzyk: niech żyją święte Maryje! — budzi uśmiech, ale muszę przyznać, że najnaturalniej emanuje z nastrojów, że brakowałby kolorytowi tych nic nie teatralnych przez pozę, a tak widowiskowych przez tło chwil. Znów rozbrzmiewają kantyczki, śpiewane gorąco jak pieśni miłosne, jak wyznania i wyzwania.

I gdy u góry nawy, wśród girland i jakby disneyowskich lampionów zjawia się pierwszy relikwiarz, gdy kolebiąc zniża się do poziomu wyciągniętych rąk i głów, paroksyzm zdaje się rozsadzi świątynię. Las rąk chwieje się i rzuca jak burzą miotany ku relikwiarzowi, by go dotknąć, bo jak legenda wszak głosi — a w kraju tym legenda splata się z prawdą i prawda z legendą — kto pierwszy dotknie trumny ze szczątkami królowej, ten cieszyć się będzie pomyślnością i zdrowiem.

Trumny zjechały z wyżyn girland na posadzkę wśród płaczów i śmiechów radości, są całowane, obelmowane, pieszczone, przyjmują jak najbardziej intymne zwierzenia i modlitwy wyschłych z gorączki warg. Tak zostaną do jutra ,dostępne każdemu. Jutro stać będą na polowym ołtarzu przed bazyliką-fortecą.

Oblicza powoli stygną. Przychodzi zmęczenie, towarzysz wielkich wzruszeń. Suche i ostro teraz brzmiące przyśpiewki plączą się wśród kaszlów i duszności. Nie ma w nich harmonii sprzed piętnastu minut, są fałsze, dysonanse. Wszyscy są zmęczeni i po ekstazie wracają do rzeczywistości. Najbardziej zmęczeni wychodzą.

Idą na papierosa, idą na kieliszek czerwonego wina do kafejek, które brzęczą jak ule i ubrane są w girlandy i bibułkowe lampiony jak na bale ludowe 14 lipca. Tu płacze dziecko, więc matka daje mu opaloną słońcem pierś, ossesek piszczy i mamrocze z zadowolenia. Tam w cieniu wozów i namiotów starszyzna paląc fajki i wachlując się szerokimi kapeluszami sądzi spór dwóch rodów. Na beczce wina pod starym Chryslerem siedzi szesnastoletni może chłopak i gra na akordeonie: Ah, le petit vin blanc. Jest nieco wstawiony i trójkowy wtór basów szybciej mu wychodzi niż melodia prawej ręki. W półcieniu błyszczą wisiory, kolczyki, perły i pierścionki. To jest noc rady. Tu jest prawie cisza. Rozmowy prowadzą się w gestach i krótkich szczeknięciach nieznanej mowy. Z kościoła biją w noc śpiewy. Noc jest wysoka, a gwiazdy ostre. Noc świętych Maryj.

Jutro wstanie jak zawsze upalny dzień, dzień wtóry odpustu i zjazdu. Dzień zaślubin z morzem i jego błogosławieństwa. Jest nuncjusz apostolski, jest prymas Galii, jest arcybiskup Paryża, arcybiskup Aix i Embrun, jest monsignore Breynad, biskup Dalekiej Północy kanadyjskiej — jest wielu biskupów i prałatów. Dziś jest pięćsetlecie odnalezienia świętych szczątków. Dziś jest wyjątkowe święto.

Trumny i figury zejdą jutro procesją do morza. Straż honorową pełnić będą Gardiani, nie używający nigdy rewolweru kowboye Camargue. Na dorodnych białych koniach w furkocie chust i frendzli i proporczyków wjadą w fale śródziemnomorskie, dzierżąc dumnie i wysoko swe drewniane lance i bicze z bykowca, które w powszedni dzień służą do zaganiania stad w drewniane, spalone słońcem, zagrody. U boku ich szły będą dumne i wyniosłe dziewczęta i one spalone słońcem i wiatrem, jakby z Carmen żywcem, czy z Arlesienne. Kobiet tu większość, wspaniałych i nieprzystępnych młódek, lub bezzębnych, pooranych zmarszczkami wiedźm — wszystkie w koralach, chustach i suto wyszywanych kapach, nierzadko konno, w siodle wybijanym gwoździami, często w mantyli z koronek i z wachlarzem, a zawsze z chusteczką w dłoni.

Operatorzy filmowi, żujący gumę będą stawać na palcach na budach swych ciężarówek, speakerzy radiowi będą zachrypnięci i wyciągać będą szyje jak indyki, by widzieć. Amatorskie Leica będą szczękać. Tłum będzie przewalał się rozlewnie między budami cyrkowymi, autami i rowerami. Kolorowe parasole kawiarń, rolety i z nawlekanych koralików zasłony, jaskrawe wille i ogłoszenia aperytywów zbledną przy barwach i blaskach tłumu odpustu świętomaryjnego. Kolory, dopiero tu, w cezanne'owskiej Prowansji żyją naprawdę.

Gdy nuncjusz pobłogosławi morze i ziemię, ludzi i konie — obróci się dalej karta najpiękniejszej i najprawdziwszej legendy Europy, w drogi Francji i Nawarry, Katalonii i Piemontu ruszą cygańskie korowody, wolne jak zawsze i barwne jak zawsze: Romanich — Gitanów — Bohemów. Zaczerpnęły oddechu na nowy rok włóczęgi.

Nad ranem przyszła burza. Oberwała się chmura i potoki deszczu zalały Camargue. Popłoch.

— Nie bójcie się nic — krzyczy stary Cygan — nasza święta nie na próżno jest z nami. Święto nie może się nie udać. Burza przeszła szybko. Zewsząd sygnalizują szkody. Tylko w S-tes Maries nic się nie stało. Cygan miał rację: słońce wróciło i nic nie zakłóci tego święta.

Zakłócili je tylko operatorzy filmowi o wystających żujących gumę szczękach, którzy chcieli komenderować tłumem do swych zdjęć. Rękawy zawinęli nad łokieć i gardłowali. Machali rękami. W nocy błyski magnezji i światła jupiterów onieśmieliły cygański tłum w bazylice. Teraz też idą onieśmieleni nawet dumni i hardzi zazwyczaj Romani. Yankesi wleźli im w kaloszach w ich święto. Są smutni więc. I ze smutkiem mówią wieczorem po wyścigach i walkach byków: do zobaczenia na przyszły rok w Saintes Maries.

---

niewiele brakuje, aby móc dodać do tej „Rodziny“ — przymiotnik „święta“. W ogóle temat rodziny często pojawia się u artysty. A „Chrystus ukrzyżowany“ z Salonu poznańskiego 1947, aczkolwiek agitacyjnie pojęty ma bowiem na ramieniu okupacyjną przepaskę z błękitną gwiazdą Syjonu — czy jednak nie świadczy o ukrytych tęsknotach do Ars Sacra?

Przytoczmy jeszcze szczególne zdanie z wywiadu prasowego, jaki niedawno udzielił Lenica, przeciwstawiając się XX-wiecznemu malarstwu impresjonistów z jego współczesną reperkusją: „Dwa jabłka i pani z kotkiem — najbanalniejszy motyw impresjonizmu zaatakiły głębokie ludzkie tęsknoty i ideały. Zamiast konkretnego przedmiotu widzimy tylko jego naskórek ze wszystkimi kombinacjami kolorystycznymi na powierzchni. Wyeliminowano wyraz, głębię i treść. Zapomniano o tragicznych zmaganiach człowieka o wolność, zapomniano nawet o religii, ażeby zawisnąć w estetyzującej próżni“...

Słowa te mają swój charakterystyczny wydźwięk. Świadczą, że w najmłodszym pokoleniu nurtuje problematyka, sięgająca poza sferę wyłącznie „plastyczną“. No, i że w naszym mieście ludzie myślą... A gdzie jest myśl, tam jest i postęp plastyki!

F. M. Nowowiejski

Francuskie Pêle-Mêle

WYTRZYJCIE GUMĄ

Zapytano pewnego pisarza, który był w swoim czasie zwolennikiem Vichy, czy nie obawia się, że historia będzie wobec niego surowa.

Ech, skrzywił się, w naszych czasach pisze się ołówkiem.

GEORGE MOORE

Przed 15 laty umierał George Moore. Pewnego dnia, gdy jego przyjaciel Jacques Emile Blanche pokazał mu portret wspólnej znajomej, oświadczył: „portret kobiety, którą się znało, nigdy nie jest tak przyjemny, jak kobiety, której się nigdy nie widziało“.

***

Parę miesięcy przed swą śmiercią, pokazując swoją bibliotekę i swe książki, powiedział: „w moje książki włożyłem zbyt dużo mego życia, mam go obecnie za mało, aby żyć“.

***

W roku 1931 mówił do Edwarda Dujardin: „zawsze marzyłem, aby napisać antologię czystej poezji, bez najmniejszego moralizatorstwa. Musiałem zaprzestać tej pracy. Moja książka nie miałaby więcej, niż 20 stron“.

NOWOBOGACCY

Pewnemu Akademikowi mówiono o bogactwach czarnego rynku. „Dawniej“ — zauważył — „Humboldt mówił o złocie zawartym w błocie Paryża. Obecnie mówimy o błocie w jego złocie“.

AKTYWNOŚĆ

Jakaś Amerykanka złożyła wizytę Herriot'owi, który wspomniał jej o mających się ukazać „Pamiętnikach“. „Ileż wspomnień musi Pan mieć“ — zawołała. — „Nie, skąd“ — odpowiedział Herriot — „mam zbyt wiele zajęć. Wspomnienia są rozrywką ludzi bezczynnych“.

ZŁA KSIĄŻKA

P. Riquet prosił kard. Suhard'a o wyrozumiałość wobec świeżo wydanej książki, dość śmiałej, ale napisanej z talentem:

„Głównie dlatego, że ma talent, będę nielitościwy — odpowiedział arcybiskup. — Nie ma nic gorszego, niż dobra „zła książka“.

ROZTROPNOŚĆ

Zapytywano Tomasza Manna, co sądzi o wystąpieniach nowych politycznych przywódców Niemiec.

„Miejcie się na baczności wobec Niemca, który mówi zbyt wiele, zwłaszcza jeśli mówi dobrze“, — rzekł znakomity pisarz.

J. K. HUYSMANS

W tym roku minęło stulecie urodzin autora „W drodze“.

Lucien Descaves porównał go kiedyś do dużego, szczupłego, poszukującego przygód kota. Być może, że to podobieństwo wywołało uwagę pewnego zakonu: „Och, Pan wszedł do Kościoła przez dach“.

***

Huysmans nie znosił Moliera. Kiedy poznawał kogoś, sprowadzał chętnie rozmowę na Tartuffa. Jeżeli rozmówca zachwycał się nim, uważał go za bęcwała, jeśli nie, za człowieka dobrego smaku.

***

Mało pisarzy używało tak często neologizmów, jak on. I to zarówno w życiu codziennym, jak i w książkach. Zaprosił na przykład na obiad ks. Mugnier w następujących słowach: „z powodu braku dań bardziej wyszukanych będzie się omletować“.

LAMARTINE

Jean Aicard znał Lamartine'a jako starca. Sam miał 14 lat, gdy był przyjęty przez wielkiego poetę w Milly. Zapytywano go, co sobie pomyślał zobaczywszy pierwszy raz Lamartine'a. „Pomyślałem o Bogu — Ojcu“ — odpowiedział Aicard.

SKROMNOŚĆ

Jean Aicard był bardzo lubiany. Zawsze uśmiechnięty, odznaczał się wspaniałym charakterem i wielką skromnością. Napisał na siebie dystych:

„Ai — je du talent J'en ai, car
Tout le monde en a“—Jean Aicard

UPRZEJMOŚĆ

Pewien krytyk spotyka przeciętnego autora świeżo wydanej książki i składa mu gratulacje: „Ogromnie mi się podoba zakończenie Pańskiego romansu“, „A co Pan sądzi o pierwszych stronach“, „Och, rzekł łagodnie krytyk, jeszcze do nich nie doszedłem“.

PORÓWNANIE

Ostatnie „bont — mot“ Orsona Welles'a: „Wielkie Mocarstwa często myślą jak mali ludzie. Sądzą, że najlepszym sposobem, aby być szczęśliwym, należy tego bronić innym“

(Na podstawie „Les Nouvelles Littéraires“ podał J. H.)

W świecie...

KLĘSKA SMUTSA

W wyborach parlamentarnych Unii Południowo-Afrykańskiej partia gen. Smutsa — rządzącego tym krajem od kilkunastu lat bez przerwy i będącego gorącym rzecznikiem współpracy z Wielką Brytanią — przegrała w stosunku do opozycyjnej, nacjonalistycznej partii dra Malana. W zasadzie partia Smutsa zdobyła o 100.000 głosów więcej niż przeciwnicy, zawdzięczający swe zwycięstwo jedynie zasadzie jednomandatowych okręgów. Na wieść o klęsce Smutsa w Londynie powstała silna konsternacja, wskutek obawy, iż dr Malana — obarczony misją utworzenia rządu — prowadzić będzie politykę zmierzającą do oderwania Afryki Południowej od Imperium Brytyjskiego. Dr Malana niedwuznacznie zapowiedział to w wywiadzie prasowym. Partia nacjonalistyczna zbyt jednak małą dysponuje przewagą w parlamencie, by pozwolić sobie na radykalną zmianę ustroju Poł. Afryki chyba, że sprzymierzy się z partią jeszcze bardziej prawicową nacjonalistyczną Havengi, co grozi faszyzacją Unii Południowo-Afrykańskiej.

WYBORY W CZECHOSŁOWACJI

WYBORY w Czechosłowacji, gdzie opozycja nie zdołała wystawić żadnej własnej listy, polegały tylko na głosowaniu za Frontem Narodowym, lub też oddaniu białej kartki, jeśli się na Front Narodowy głosować nie chciało. W rezultacie 89.3 proc. głosów padło za Frontem Narodowym. Białych kartek złożono 10,7 proc. W okręgach Czech i Moraw na Front Narodowy oddano 90 proc., białych kartek było 10 proc. W Słowacji za Frontem głosowało 86 proc. wyborców, przeciwko — 14 proc.

WYNIKI LONDYŃSKIEJ KONFERENCJI

W Londynie zakończono trwającą od 26 lutego konferencję informacyjną sześciu państw na temat niemiecki. Komunikat z rozmów ogłoszony będzie około 15 czerwca. Uchwalone rekomendacje przedstawione zostaną rządom 5 krajów. Zwycięzyła teza anglosaska, nie gwarantująca w dostateczny sposób interesów i bezpieczeństwa państw europejskich (Francji Beneluxu), gdyż postulująca szybką odbudowę i tendencje usamodzielnienia Niemiec, przy równoczesnym ich podziale. Rekomendacje te postulują:

utworzenie do września br. konstytuanty oddzielnej dla Niemiec Zachodnich,

przeprowadzenie oddzielnej reformy walutowej w trzech strefach okupacyjnych,

utworzenie organizacji dla kontroli Zagłębia Ruhry z udziałem USA, W. Brytanii, Beneluxu, Francji i przedstawiciela Niemiec Zachodnich.

REDUKCJE 50% REPARACJI

WSKUTEK prośby skierowanej przez rząd fiński do rządu ZSRR, zainicjowanej przez komunistycznych ministrów rządu fińskiego — Związek Radziecki zgodził się zredukować należną mu od Finlandii sumę reparacji wojennych o całe 50%. Z identyczną prośbą zwróciły się do generalissimusa Stalina rządy rumuński i węgierski.

WOJNA TRWA NADAL

WEZWANIE Rady Bezpieczeństwa o zawarcie 4-tygodniowego rozejmu — aczkolwiek faworyzuje pod względem militarnym stanowisko Arabów — zostało przyjęte tak przez Ligę Arabską, jak rząd Izraela. Nad wykonaniem rozejmu czuwać ma delegat ONZ — Bernadotte. Mimo przyjęcia w zasadzie propozycji rozejmu — walki trwają nadal, gdyż Arabowie żądają zakazu imigracji żydowskiej do Palestyny w ciągu tych czterech tygodni i wobec tego — nie mogąc uzyskać formułki porozumiewawczej — Bernadotte ciągle konferując z obu stronami, zwleka z wydaniem rozkazu rozejmu. Pod względem wojskowym pozycje wojenne wojsk Hagany polepszyły się w ostatnich dniach bardzo wyraźnie.

Czytajcie „SŁOWO POWSZECHNE"

Artur Załopiński

Szczęście-rzecz

(O ostatniej książce prof.

„Szczęście" — pisze w dalszym ciągu prof. Tatarkiewicz — „jest w nas. Ale niekoniecznie przez nas. Sami je wytwarzamy, ale nie wytwarzamy z siebie — podobnie, jak nie sobą siebie odżywiamy. Bo są to dwie różne sprawy. Czy szczęście zależy więcej od warunków zewnętrznych, czy też od nas samych, od naszej postawy, — to jedna. A druga: jaka jest ta nasze postawa, która ma zapewnić szczęście? Gdy zamykamy się w sobie, czy też, gdy zajmujemy się i przejmujemy światem? Można sądzić, że raczej ta ostatnia. Musimy mieć coś co nam da szczęście. Może to być rzecz ważna albo nawet błaha, ale bez niej szczęścia nie wykrzesamy podobnie jak nie wykrzesamy ognia, jeśli nie mamy o co potrzeć krzesiwa. Jeśli człowiek, jest do czegoś przywiązany i czymś zajęty, to ma więcej danych do szczęścia niż ten, kto przywiązany jest tylko do siebie i sobą tylko zajęty".

„Szczęśliwy jest ten kto się oddaje całkowicie jakiejś sprawie, kogo rzeczywistość kłopotów, zdarzeń kolorów, tonów, zagadnień pochłania, a nie kto wciąż **widzi siebie** wobec kłopotów, zdarzeń; krótko: kto się samowiednie przeciwstawia rzeczywistości. Podobnie napisał kiedyś Russel „nic nie jest tak nudne, jak być zamkniętym w sobie samym, a nic nie daje tyle pogody co zwracanie uwagi i energii na zewnątrz".

Trzeba mieć wiele mocnych zainteresowań. Czuć się gwałtownie zaabsorbowanym tym co nas przerasta. W tym znaczeniu, pełne zadowolenie staje się równoznaczne z zaspakajaniem ciekowości żarliwej i zwiększającej się w miarę poznawania świata. Wszystko cokolwiek czynimy w zgodzie z powołaniem własnym, — zmierza do ujawnienia naszej pasji twórczej. Jeśli zamiłowanie, jakie posiadamy, może się urzeczywistnić, — prawdopodobieństwo osiągnięcia trwałej satysfakcji w życiu; staje się realne. Poza pracą przynoszącą radość, mało jest czynników gwarantujących dobre samopoczucie na przestrzeni lat.

Oddajmy głos autorowi. „Taka jest podwójna natura szczęścia" — konstatuje. „Jest ono stanem wewnętrznym, ale wymaga pomocy z zewnątrz; mamy je w nas, ale nie tylko przez nas.

Sam świat zewnętrzny nie da szczęścia, **nie pomogą najpomyślniejsze losy, jeśli nam brak odpowiedniej postawy wewnętrznej.** Ale postawa wewnętrzna musi być skierowana ku światu zewnętrznemu, musi ona zapełniać życie, inaczej będzie ubogie, nudne".

To znakomita uwaga! Nie wszyscy posiadamy zdolność cieszenia się tym co nas spotyka, a dary losu nie lubią być marnowane. Dobra passa przyjęta skrzywieniem ust, natychmiast w złą się przekształca. Cały dowcip polega na zręcznym chwytaniu okazji. I na stosownym śmiechu. Kogo drobiazgi radują, na pewno wiele otrzyma, bo umie je pokwitować w sposób przyciągający fortunę.

Prawo serii — spytacie? Niewątpliwie. Malkontenci zawsze prowokują pecha. Wobec tego, uczmy się grać z naszym losem! On lubi być doceniony, kiedy się ufnie powierza. Ma wtedy kobiecą naturę, a z kobietami — wiadomo. Bez dyplomacji nie sposób.

MĘCZENNICY WŁASNYCH PRZEWIDYWAŃ

„Uczucia skierowane ku przyszłości mają specjalną siłę — przede wszystkim obawa i nadzieja. Gdy zaś nastąpiło to, czegośmy się obawiali, przestajemy się naturalnie obawiać, a gdy spełniła się nadzieja, przestajemy mieć nadzieję. Miejsce obawy i nadziei, zajmują wtedy uczucia zupełnie inne. Są to również zmartwienia i uciechy, ale pozbawione już tego napięcia, jakie miały tamte.

Dlatego też ponieważ mierzymy przyszłe nasze uczucia miarą obecnych obaw i nadziei, przyszłe uczucia nie wytrzymują takiej miary. I doznajemy nieraz niespodziewanej ulgi, gdy stało się już to, czegośmy się obawiali, a także doznajemy niespodziewanego zawodu, gdy spełniły się nasze nadzieje.

Przewidując zdarzenie, które ma przyjść myślimy o nim jednym, nie wiedząc o innych zdarzeniach, które zajdą i zasadniczo zmienią jego działanie.

Gdy dziś przewidujemy przyszłość, liczymy się z czynnikami, które dziś działają. Ale z biegiem czasu, czynniki te przestaną działać lub działać będą inaczej.

Wiele rzeczy, które dziś nas przejmują, wspominać będziemy obojętnie, albo nawet wcale nie będziemy o nich pamiętać. Stanie się to po latach, a niekiedy już po godzinach. Odległość czasowa, upiększa rzeczy wtedy tylko, gdy jesteśmy pewni przyszłości i z otuchą w nią patrzymy, natomiast dodaje niepokoju i grozy, gdy się o nią lękamy. „Możliwości są bardziej przerażające niż rzeczywistość" — mówił Kierkegaard. Dr Pelczar, który ocalał w pamiętnej katastrofie lotniczej nad Warszawą 11 listopada 1937 r. opowiadał, że gdy samolot długo krążył we mgle i gdy stało się prawdopodobne, że lot skończy się rozbiciem, czekał tylko tej chwili i gdy wreszcie nastąpił przeraźliwy wstrząs i trzask, doznał ulgi.

Nikt objawów tych nie zaobserwował trafniej, niż myśliciel francuski Chartier pisujący pod pseudonimem Alain. Kto rozmyśla o jakimś wypadku pisze on — ten przeżywa go zupełnie inaczej, niż ten kto mu uległ. Wypadek, często spotyka niespodziewanie, ten zaś kto o nim myśli, układa sobie poprzedzające momenty, jak w dobrze zbudowanym dramacie. Gdy przedstawiam sobie np. że jestem przejechany przez samochód, to przeżywam jakby film au ralenti: roztrząsam szczegóły, na których uświadomienie nie byłoby wcale czasu w szybkim biegu zdarzeń. Co więcej: gdy skończyłem wyobrażenie wypadku, zaczynam wyobrażać go sobie na nowo, a przez to **umieram nie raz, lecz wiele razy!** Ból trwający ułamek sekundy i zaraz potem zapomniany, nie byłby straszny. Dotkliwym staje się dopiero wówczas, **gdy się go przewiduje, oczekuje, analizuje, rozkłada w czasie, przedłuża wstecz i w przód".**

A TO TAKIE PROSTE!

„Fakt dokonany, okazuje się zwykle prostszy, niż przewidywane możliwości. Oto jak w relacji jednego z kapelanów Wojska Polskiego, przedstawiały się przeżycia pamiętnej niedzieli 24 września 1939. Należąc do wojsk broniących Warszawy, znajdował się na forcie mokotowskim pod gwałtownym ogniem artylerii niemieckiej, przygotowującej atak piechoty na ostatnią czynną jeszcze radiostację, stał ukryty za murem razem z porucznikiem i sierżantem, palili papierosy i czekali, mur był mały i stali blisko przyciśnięci jeden do drugiego. Aż pocisk padł tuż obok. Pęd powietrza przewrócił go, szczęk ogłuszył kurz oślepił. Pierwszym odruchem było: sprawdzić czy nie jest ranny; ręką potarł twarz na ręce była krew, ale szybko odczuł, że to nic groźnego. Usłyszał jęk i wtedy spojrzał koło siebie. Obaj jego towarzysze, z którymi przed chwilą palił papierosy i których dotykał ramionami, leżeli poszarpani, jeden miał rozpłatany brzuch, drugi — głowę i już nie żył".

CZEGO SIĘ BYŁO BAĆ?

„Uczucie jakiego wówczas doznał, było szczególne: nie było ani uczuciem grozy, ani radości z ocalenia. Pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jego świadomości była: jakie to proste. Czego się było bać? Myślało się o tym z lękiem, a to takie proste i naturalne.

Fakt ma w sobie to dobre — jak powiada Alain — że kładzie kres możliwościom i oczekiwaniom. **Strachy wytworzone przez wyobraźnię są najgorszymi wrogami, bo niepodobna ich uchwycić, a przez to trudno z nimi walczyć.** Może się zdarzyć, że dla człowieka, który lękał się nieszczęścia, choroby, ruiny — to nieszczęście, choroba, ruina, nie będą tak straszne, jak się obawiał, lecz przeciwnie, będą dlań — ulgą.

W najpiękniejszej książce: „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa", Tomasz a Kempis napisał: „Na co się przyda troszczyć o to, co się kiedyś przydarzyć może. Na to chyba abyś sobie przymnażał smutek do smutku. Dosyć ci ma dzień na swej nędzy (Mat. 6. 34.). Próżno i niepożytecznie jest zatrważać się lub cieszyć rzeczami przyszłymi, które może się nigdy nie zdarzą. Takimi przywidzeniami, łudzić się, znak to jest słabości ludzkiej, a tak łatwo poddawać się poduszczeniom nieprzyjaciela, znak to jest jeszcze, małego serca. Nieprzyjaciel zaś, nie dba oto, czy cię prawdziwymi, czy też zmyślonymi rzeczami zwiedzie i omami: czy zamiłowaniem rzeczy obecnych czy trwogą przyszłych złamie i obali. Niech się nie trwoży serce twoje, ani się lęka. (Jan 14. 1.)".

Powtarzajmy tę prawdę współczesnym: Najważniejszą przeszkodą w szczęściu jest fantazja podsycana strachem. Kto nie nauczy się nad nią panować, nigdy nie dozna spokoju. Ludzie naszej epoki są wyniszczeni przez lęk śmiertelny, męczący i długoletni taki, który stopniowo zabija. Wszystkie dobre moce muszą sprzymierzyć się w walce z tą przeraźliwą psychozą.

POSŁUCHAJCIE DOBREJ RADY

„Jeśli nie możemy zmienić warunków biologicznych i społecznych" — pisze dalej autor — „to nie pozostaje nam nic innego, jak starać się o zmianę warunków psychicznych, — na nie przerzucić ciężar starania się o szczęście. Doświadczenie uczy, że działanie przeszkód zmienia się zależnie od postawy, jaką wobec nich zajmujemy. Brak majątku nie dolega, jeśli się oń nie dba, ani brak stanowiska jeśli się nie ma ambicji. Tylko przy pewnym usposobieniu, myśl o śmierci wywołuje lęk lub depresję. Tylko przy pewnym usposobieniu, osamotnienie wywołuje smutek czy nudę. A jeśli ich nie wywołuje, to nie jest przeszkodą w szczęściu. **Rzecz zła wtedy tylko działa i unieszczęśliwia, gdy trafia w człowieku na odpowiednie dyspozycje. Braku nie odczuwamy, gdy nie odczuwamy potrzeby.** Albo gdy jesteśmy doń przyzwyczajeni i uważamy go za naturalny. Ból mniej dokucza, gdy się jest nań wytrzymałym, śmierć, gdy się o niej nie myśli, ubóstwo, gdy się nie ceni dóbr materialnych. Od człowieka samego zależy, czy przeszkody jakie ma w życiu będą mu dokuczać więcej czy mniej, lub też wcale nie będą dlań przeszkodami. Jeśli nie może odwrócić zła, może przynajmniej zmienić siebie, swoje myśli, potrzeby, przyzwyczajenia. „Nie przyzwyczajaj się do rzeczy, a nie będą ci konieczne. Nie mów sobie, że są nieodzowne a nie będą nimi" pisał Epiktet. Podobnie Marek Aureliusz: „Jeśli trapi cię jakiś przedmiot zewnętrzny, to nie on ci dolega, ale twój sąd o nim, a ten zmienić jest w twojej mocy". A Seneka: „Człowiek jest nieszczęśliwy tylko w tym stopniu, w jakim się za nieszczęśliwego uważa".

„Chcąc unieszkodliwić zło, trzeba je usunąć ze świadomości, zapomnieć o nim, traktować je tak, jakby nie istniało. Gdy nie będę myśleć o śmierci, przestanie być dla mnie straszna".

Albo: wzbudzić w sobie przeświadczenie, że zło jakie mnie spotyka, nie jest ważne. Że — np. nie ważna jest krótkość życia, jeśli można je przeżyć intensywnie, że nie ważny jest niedostatek, skoro można posiąść dobra duchowe.

Albo: wzbudzić przeświadczenie, że rzekome zło wcale nie jest złem. Nie jest nim np. ból, bo wzmaga wytrzymałość i umacnia charakter, śmierć nie jest zła, bo kładzie kres cierpieniom i może dać początek szczęśliwej egzystencji, nie jest złem starość bo i ona ma swoje radości, których tylko młodość nie dostrzega.

Albo wreszcie uświadomić sobie, że rzekome zło nie istnieje naprawdę, że jest jedynie fikcją umysłu. Lękamy się wielu rzeczy, które są tylko wytworami naszej wyobraźni. Epikur twierdził, że nie grozi nic od śmierci, bo póki my jesteśmy nie ma śmierci, a gdy jest śmierć — nie ma nas, jako ludzi z ciała i duszy złożonych.

Nie ma zewnętrznych wrogów szczęścia; wrogiem własnego szczęścia może być tylko sam człowiek. Szczęście i nieszczęście, nie jest rzeczą zewnętrznych okoliczności życia, lecz wewnętrznego do nich stosunku. Szczęście i nieszczęście są w nas i od nas zależą. Człowiek, nawet przy najpomyślniejszych warunkach życia, może być nieszczęśliwy, ale od niego samego zależy, by nieszczęście swe zmienić w szczęście".

OSIEM PRZYCZYN NIESZCZĘŚCIA

Wymienia je Russel w swym „Podboju szczęścia". Są to: 1) Życie bierne, oderwane od rzeczywistości, „bajrońskie" (bo człowiek przystosowany jest do walki o byt. Życie bez walki i wysiłku nie może go zadowolić). 2) Ale również życie nazbyt czynne i nazbyt podniecone (jakim jest zwłaszcza życie ludzi interesów) przebiegające w ciągłej rywalizacji i zbyt niespokojne, by mogło być szczęśliwe. 3) Nuda i przesycenie. (Nudzimy się wprawdzie mniej niż nasi przodkowie, ale gorzej od nich znosimy nudę). 4) Zmęczenie (zwłaszcza zmęczenie uczuciowe, bo umysłowe i mięśniowe znajdują lekarstwo we śnie). 5) Zazdrość odgrywająca w życiu nowoczesnego człowieka ogromną rolę, będąca jak sądzi Russel główną sprężyną demokracji. 6) Poczucie grzeszności (będące skutkiem tradycyjnej moralności, niesłusznie skupiającej całą uwagę człowieka na własnej jego osobie). 7) Mania prześladowcza (mająca zazwyczaj źródło w przesadnym mniemaniu o własnej wartości) i 8) lęk przed opinią".

ZASTRZEŻENIA

Zwalczanie przeszkód psychicznych ma nie tylko swe trudności, ale i swe niebezpieczeństwa, bo usuwając dyspozycje powodujące cierpienia, usuwa się przez to i te, które powodują radości. Kto zobojętniał dla spraw materialnych, ten nie martwi się stratą, ale także nie cieszy się zyskiem. Jeśli potrzeby i afekty są przeszkodą w szczęściu, to dwa są sposoby, aby je zwalczyć: jeden radykalny polega na tym, by się ich wyzbyć, żyć bez potrzeb i afektów drugi zaś na tym, by inaczej nimi pokierować. Starożytni — zwłaszcz

*) Początek patrz nr 22 (131).

najważniejsza*)

Władysława Tatarkiewicza)

stoicy — skłaniali się do pierwszego sposobu, a właśnie ten jest nie tylko trudny, niezgodny z naturą ludzką, ale i mało korzystny, bo usuwając szanse nieszczęścia, zmniejsza zarazem szanse szczęścia" — stwierdza Tatarkiewicz.

CO DAJE SZCZĘŚCIE?

Do szczęścia potrzebna jest cnota, tak mówią nie tylko kaznodzieje, ale i materialistyczni filozofowie w rodzaju Cabanisa. Przeciwnie, potrzebne jest doń złe serce i dobry żołądek — powiada niewiele wcześniejszy od Cabanisa, myśliciel francuski Fontenelle.

Szczęście jest w swobodnym rozwoju własnej osobowości — tak mówili indywidualiści i liberałowie, których tylu wybitnych i wymownych wydał wiek 19.

Szczęście jest w swobodzie i odpowiedzialności — tak to formułuje jedna z bohaterek Ibsena. Przeciwnie, szczęście jest w karnym poddaniu się i posłuszeństwie — to przekonanie żywią przede wszystkim i od wieków zgromadzenia religijne i zakony.

Prawdziwe szczęście jest darem losu i nie wymaga wysiłku; tak myśli bodaj większość ludzi i tak pisze niejeden myśliciel, np. Schopenhauer.

Przeciwnie, prawdziwe szczęście jest rzeczą właśnie wysiłku i pracy jak twierdzą inni, chociażby Balzac. Szczęście jest w walce, mówią sangwinicy; jest w spokoju, mówią flegmatycy. Jest w aktywności i przedsiębiorczości, mówią ci, którym się w życiu powiodło. Nie! Jest właśnie w panowaniu nad popędami i aspiracjami, twierdzą ci, którzy za realizowanie swych aspiracji, zapłacili drogo.

Aby mieć szczęście, trzeba mieć wszystko co człowiek tylko mieć może, bo każdy brak odczuwa się boleśnie. Przeciwnie, gwoli szczęścia, należy się właśnie ograniczać — pisał Hugo, a Schopenhauer twierdził: „Każde ograniczenie uszczęśliwia". Czynnikiem szczęścia jest solidarność ludzka — tak twierdzą jedni. Natomiast wedle innych, do szczęścia przyczynia się właśnie kontrast własnego powodzenia materialnego czy duchowego z niepowodzeniem innych (wszak Tertulian widział jedno ze źródeł szczęścia dusz zbawionych w niebie, w oglądaniu męczarni potępionych w piekle).

Gwoli własnego szczęścia, trzeba dawać z siebie jak najwięcej — tak twierdzi poeta polski (Dość się weseli serce, gdy daje i sobą się dzieli, L. Staff).

Przeciwnie, dla szczęścia trzeba dawać z siebie jak najmniej — twierdzi rosyjsko-francuska powieściopisarka I. Nemirowska. Dla zapewnienia sobie szczęścia trzeba zredukować swe przywiązania i oczekiwania — napisał Goethe, a powtórzył za nim Stirner.

Przeciwnie, szczęście jest właśnie w miłości i nadziei — mówił Lamennais; szczęście jest możliwe tylko dla tego, kto zapomni o grozie śmierci: tak myśli nie tylko większość laików, ale też wielu filozofów. Przeciwnie: szczęśliwy jest tylko ten, kto bezustannie myśli o śmierci — tak twierdzą znów myśliciele religijni. Warunkiem szczęścia zdaje się być dla człowieka, by stał się wolny od trwogi i lęku, bo one unieszczęśliwiają ludzkość. Niektórzy mniemają, że jest to pierwszy i najważniejszy ze wszystkich warunków szczęścia, a nawet, że to warunek pierwszy i zarazem ostatni, niezbędny i wystarczający.

Szczęście jest w spokoju. Spokój, mówiąc słowami św. Jana Chryzostoma — jest matką wszelkiego dobra, źródłem wszelkiej radości. Natomiast jednym z wyników ostatniej ankiety w sprawie szczęścia jest, że: „więcej ludzi pragnie przygód niż spokoju".

Szczęście jest w zaspokojeniu pożądań; z niezaspokojonymi pożądaniami nie można być szczęśliwym. Przeciwnie, szczęście jest w samych pożądaniach właśnie nie zaspokojonych, bo choć niepokoją, ale pobudzają do życia i dają życiu urok. Szczęście jest w życiu pełnym różnorodnych wrażeń; człowiek musi szukać wciąż nowych przeżyć, aby uniknąć znużenia i przesytu. Tak myśli może większość ludzi, ale niektórzy patrzą na to zupełnie inaczej. Ci widzą szczęście właśnie w życiu jednostajnym i uregulowanym, zgodnym z przyzwyczajeniami.

Szczęście jest tylko w Bogu — powiadają św. Augustyn, św. Tomasz i za nimi katolicy. Szczęście możliwe jest tylko dla tych, którzy pojęli, że Boga nie ma — powiadają materialiści i ateiści, począwszy od Epikura i La Mattrieego.

Większość ludzi wyobraża sobie, że aby być szczęśliwym trzeba mieć wszystko, co w życiu mieć można; natomiast jeśli człowiekowi nic nie brakuje, to będzie szczęśliwy na pewno. Wszakże i co do tego miewano inne doświadczenia. „Niczego mi nie brakowało — prócz szczęścia" mówi jeden z bohaterów Orzeszkowej. Wielu ludzi sądzi, że szczęście jest w majątku. Stoicy zaś wszystkich czasów twierdzą, że majątek może tylko szczęściu stać na przeszkodzie. A pośrednie stanowisko powiada, że o szczęściu nie stanowi wprawdzie majątek, ale jego odpowiedniość do potrzeb. Szczęście zależy od pomyślnych warunków życia — tak myśli przeciętny człowiek. Przeciwnie: zależy tylko od nas samych: tak uczą filozofowie począwszy przynajmniej od Sokratesa i stoików.

Aby być szczęśliwym, trzeba mieć jak najwięcej przyjemności; tak myśli przeciętny człowiek, a przyznają mu rację niektórzy filozofowie, np. ci, co należeli do szkoły cyrenajskiej. Wszakże większość filozofów uważa to właśnie za najmniej pewną drogę do szczęścia, radzą raczej unikać cierpień niż poszukiwać w życiu przyjemności.

Wielu ludzi sądzi, że rodzina jest czynnikiem szczęścia. Niemiecki filozof Rickert napisał nawet, iż jest ona jedyną rzeczą, która może je dać w pełni i że na życiu rodzinnym uformowane jest nasze wyobrażenie szczęścia. Ale jest i inny pogląd: francuski poeta Valery powiada, że każda rodzina tai w sobie swoiste niezadowolenie, które zmusza do ucieczki każdego jej członka, dopóki posiada jakąkolwiek siłę żywotną.

Wielka miłość jest największym szczęściem na ziemi, choćby była krótka, dla niej jednej warto żyć — tak od dawna piszą poeci. Jednak nie wszyscy; inaczej mówi angielska pieśń: „Kochaj mnie tylko trochę, ale kochaj długo".

Do szczęścia potrzeba głębokich przeżyć, powiadają filozofowie. Do szczęścia wystarczają sprawy powierzchowne, byle były przyjemne — tak mniemają szerokie masy (mówiąc słowami Jana Lemańskiego: Szczęście w firanek ażurze, szczęście w mebli politurze, szczęście w lampy abażurze).

DEFINICJA FILUTERNA

Monteskiusz zapytany przez pewną damę na czym polega szczęście, miał odpowiedzieć: „Szczęście margrabino to — płodność u królowych, bezpłodność — u panien"

SZCZĘŚCIE W OCZACH LAIKÓW

Zasadniczo laik jest przekonany, że szczęściu służy to co on lubi; filozof zaś widzi, że znaczna część tego co ludzie lubią, może być jedynie przeszkodą w szczęściu i musi być traktowane tak jak się traktuje przeszkody. Szczęściem jest dla laika posiadanie tego na co ma ochotę, nigdy zaś wyrzeczenie. Czegoś sobie dla szczęścia odmawiać — to byłoby dlań absurdem. Przeciwnie, powinien dla swego szczęścia starać się o wszystko na czym mu zależy, im więcej tego osiągnie, tym bardziej będzie szczęśliwy. Więc niech używa dóbr, niech zaspakaja swe potrzeby, doznaje przyjemności. To też recepty potoczne nie powstrzymują tylko namawiają, są pozytywne nie tylko co do celu, ale i co do środków".

RECEPTY FILOZOFÓW

„Inaczej natomiast recepty filozofów. Bo dla nich wiele dóbr jest rzekomymi dobrami, wiele potrzeb pozornymi potrzebami, a wiele przyjemności tylko oddala od szczęścia. Dla nich najbardziej nawet poszukiwane źródła są zawodne. Więc zalecają wobec nich postawę negatywną. I stąd zasadnicza dwoistość w ich przepisach na szczęście. Są po części tylko pozytywne, po części zaś — negatywne, składają się nie tylko z nakazów, ale i z zakazów.

Przepisy negatywne u wielu filozofów wysunięte są nawet na czoło teorii szczęścia, przed przepisami pozytywnymi. Mianowicie trzy najogólniejsze:

Po pierwsze — kto chce szczęścia, niech wystrzega się dóbr zewnętrznych.

Po drugie — kto chce szczęścia, niech ogranicza swe potrzeby.

Po trzecie — kto chce szczęścia, niech unika przyjemności.

Są to trzy wielkie paradoksy, a największym paradoksem jest, że nie są odosobnionymi przepisami oryginalnych myślicieli, lecz mają wręcz przewagę w filozoficznych teoriach szczęścia. Przede wszystkim głosiła je epoka hellenistyczna, która pierwsza w dziejach Europy, wydała opracowaną teorię szczęścia, a w niej zwłaszcza szkoła stoicka. Ale niemniej radykalnie, te trzy paradoksalne zakazy dla szczęśliwych były głoszone przez myślicieli chrześcijańskich. Bez mała rzec można, że inne teorie szczęścia stanowiły w dziejach filozofii europejskiej raczej wyjątek, owe zaś paradoksy — osnowę.

1) Kto chce szczęścia, niech się wystrzega dóbr zewnętrznych. Ta pierwsza teza zwrócona jest przeciw zakorzenionemu przekonaniu, że szczęście leży właśnie w dobrach zewnętrznych, a zwłaszcza w materialnych. W ostrożniejszej formie twierdzi, że nie przyczyniają się do szczęścia; a w bardziej radykalnej, że nawet zmniejszają jego szanse. Dlatego przepis mówi nie tylko: nie dbać o bogactwo, ale radykalniej: wystrzegać się go! Przepis ten może się wprawdzie wydać niesłuszny w zwykłych warunkach życia, gdy wszystkie inne potrzeby człowieka są zaspokojone, natomiast w ciężkich chwilach „czasu pomsty i utrapienia" okazuje się cała nicość bogactwa. Ale i w najzwyklejszych warunkach może być obojętne, a nawet szkodliwe. Szkodzi szczęściu przede wszystkim dlatego, że kto je posiada przyzwyczaja się doń i gdy je utraci, cierpi z tego powodu. A jeśli nawet nie utraci, to jednak grozi mu utrata, z groźbą zaś utraty łączy się niepokój, a z niepokojem — przykrość.

„Jakże szczęśliwie żyjemy, którzy nic swego nie mamy" jak mówią teksty indyjskie. Przyczyną przykrości jest tym bardziej bogactwo, którego się nie posiada — jeśli pragnie się go posiadać. Niebezpieczne są nawet nie tyle same dobra materialne, ile pragnienie ich i przywiązanie do nich. Dla tego, komu są obojętne, nie mogą być źródłem przykrości. Kazanie na górze, błogosławionymi czyli szczęśliwymi nazywa nie ubogich — lecz ubogich duchem. To znaczy uczy, że szczęście zależy nie od tego czy się bogactwa posiada, lecz czy się o nie DBA.

„Dobra społeczne" — stanowisko, zaszczyty, sława, władza — mają się do szczęścia tak samo, jak dobra materialne. Wiadomo, że zdobywanie ich i posiadanie daje niemało przyjemności, ale także powoduje przykrości. Są ludzie sławni i będący u władzy, którzy nie są szczęśliwi, których właśnie sława i władza unieszczęśliwiły. Dlatego przestrogi przed dobrami materialnymi są rozciągane na wszystkie dobra zewnętrzne. Bo wszystkie są niepewne i niebezpieczne. Brak ich dokucza tym, co starali się o nie, a nie osiągnęli i tym, co je mieli, a utracili, ale także posiadanie ich może dokuczyć, mianowicie tym, co mając je lękają się, by ich nie utracić. Kto zaś przywiązuje do nich wagę ryzykuje nawet podwójnie: że będzie niezadowolony jeśli ich nie posiądzie, ale także, jeśli je posiądzie, to pozna trudności władzy czy gorycze sławy. Sprawiają zawód gdy nie przyjdą, a nieraz także gdy przyjdą. Więc nawet z czysto eudajmonicznego punktu widzenia, lepiej się ich wystrzegać.

2) Kto chce szczęścia, niech ogranicza potrzeby, a to dla podobnych względów jak te, dla których powinien wystrzegać się dóbr zewnętrznych. Potrzeby bowiem nie zawsze można zaspokoić, a cierpi ten, kto ich nie zaspokoi. To był pierwszy argument; drugi zaś, wysuwany zwłaszcza przez Schopenhauera, wykazywał, iż **zaspokojenie jednych potrzeb, rodzi zaraz drugie, a przez to potrzeby nigdy nie mają końca, nie ma naprawdę możności ich zaspokojenia.** A nie zaspokojenie ich sprawia nieraz więcej przykrości, niż zaspokojenie sprawia przyjemności. Głód daje więcej przykrości niż nasycenie daje przyjemności i podobnie jest z innymi rzeczami.

Filozofowie starożytni — nie tylko stoicy, ale także epikurejczycy — przestrzegali przed rozwijaniem w sobie potrzeb z obawy przed niemożnością ich zaspokojenia. Nowsi zaś biotechnicy przestrzegali raczej dlatego, że nawet zaspokojenie potrzeb nie daje szczęścia. Tamci obawiali się niezaspokojonych potrzeb, ci zaś właśnie — zaspokojonych".

DWIE TRAGEDIE

„Jak pisał Oscar Wilde: „Dwie są tragedie człowieka: jedna gdy nie zaspokoi swych potrzeb, a druga — gdy je zaspokoi. Bo zaspokojenie ich daje często tylko zawód". „A większą mi rozkoszą podróż niż przybycie" pisał Staff. U kresu pragnień bywa przesyt lub gorycz: wysiłek włożony w ich realizację, nieraz zwłaszcza gdy był ciężki i długi, nieraz zmęczy i zniechęci do tego, do czego się dążyło. **Albo też to co zostało osiągnięte, wyda się marne w porównaniu z tym, czym było w pragnieniach.** A jeśli nawet nie będzie zmęczenia czy rozczarowania, to pojawi się nowe niebezpieczeństwo: **zaspokojenie potrzeb wywoła nowe potrzeby i tak będzie nieustannie dalej.** „Abyśmy mając wszystko, nie pragnęli jeszcze" jak pisał Lechoń. Podwójne jest tedy ryzyko potrzeb: narażają na przykrości, gdy nie będą zaspokojone i narażają na nie także, gdy będą zaspokojone. A wyzbycie się ich nie jest możliwe. Ileż jest rzeczy, bez których możemy się obejść, jak to zwykł był powtarzać Renan. Lub, jak mówi holenderskie przysłowie: „Człowiek potrzebuje wielu rzeczy, ale może żyć byle czym".

Z rozważań takich wyciągano nawet wniosek, że w imię szczęścia należy się wyzbyć wszelkich potrzeb. Tak było w szkole cynickiej i w skrajnych prądach chrześcijaństwa. Inne natomiast szkoły hellenistyczne i inne prądy myśli katolickiej domagały się tylko, aby **potrzeby ograniczyć,** aby wybierać między nimi. Są bowiem takie, których bez żadnej szkody możemy się wyzbyć i takie, których usunięcie dezorganizuje nasze życie. Epikur odróżniał potrzeby naturalne od nienaturalnych, a wśród naturalnych konieczne i niekonieczne.

Jądro rzeczy ujmują słowa Staszica: „Cóż to prawdziwą szczęśliwością nazywamy: złóżmy przesądy, zamyślmy się nad sobą: wszyscy jedno powiemy: mieć życia pierwsze potrzeby, zdrowie i pokój. Tylko te trzy rzeczy stanowią rzeczywistą człowieka szczęśliwość".

PRAGNIEMY RZECZY NIEZNANYCH

„Spełnienie pragnień nie zawsze daje nam szczęście. I to nie tylko dla owej racji podawanej przez filozofów, że po spełnieniu jednych pragnień, zaraz pojawiają się — nowe. Bo i samo spełnienie ich, nie zawsze sprawia przyjemność. **Wiele pragnień ma swe źródło po prostu w nieznajomości tego czego się pragnie. Wszak z natury rzeczy pragnie się tego, czego się nie posiada, a więc i nie zna!** A nie zna się tego, czego się pragnie nawet wtedy, gdy się to już kiedyś posiadało: bo gdy się ma tę samą rzecz po raz wtóry, to przeważnie nie jest to już ta sama rzecz, a w każdym razie uczucia wobec niej nie są te same. A najważniejsze: zachodzi zwykle rozbieżność między rzeczą upragnioną i posiadaną, zachodzi bowiem rozbieżność między wyobrażeniem rzeczy a rzeczą. Rzecz upragniona, to tylko rzecz wyobrażona, a wyobrażenie przekształca własności rzeczy i zabarwia je na swój sposób. I ujmuje zawsze tylko pewne jej własności, a pomija inne. Poeta, który marzy o tym, by być ptakiem pamięta o czystych przestrzeniach powietrznych i o rozkoszy lotu, a nie myśli o klatce i kocie. Student wyobraża sobie tylko piękno Szwajcarii i Włoch, a nie myśli o tym, że z oglądaniem pięknych widoków wiążą się przykrości i niewygody jazdy. Dlatego spełnienie pragnień, tak często sprawia zawód: nie trzeba filozofii i bajek, by to wiedzieć. Jednakże: nie sprawia go przecież zawsze. A nawet niespełnienie pragnień nie zawsze jest przeszkodą w szczęściu".

CHCESZ SZCZĘŚCIA — UNIKAJ PRZYJEMNOŚCI

Było już o tym dość mowy, że wielka ilość przyjemności nie stanowi jeszcze o szczęściu, a odwrotnie niekoniecznie doń potrzeba wielu przyjemności. Przyjemność nie każda przyczynia się do szczęścia, a niekiedy może być mu przeszkodą, jak poszczególna barwa, choć sama przez się ładna, może zepsuć kolorytu obrazu. I im więcej malarz myśli o poszczególnych barwach, tym mniej myśli o kolorycie całości.

Podobnie rzecz ma się z przyjemnościami i szczęściem. Inny jest rachunek przyjemności i inny — szczęścia. Jak pisał Seneka: „Niektórzy są przez przyjemności nieszczęśliwi".

Na tym tle nastąpiło uogólnienie. Skoro przyjemności mogą być dla szczęścia niebezpieczne, to w ogóle lepiej ich unikać. To była mądrość stoicka. Seneka pisał: „Szczęśliwym nazywamy człowieka, dla którego rozkoszą jest pogarda dla rozkoszy". Pogląd ten przetrwał starożytność i erę panowania stoicyzmu; jeszcze w tak mało stoickim środowisku jak francuski wiek 18, kursował aforyzm: „Przyjemność jest wrogiem szczęścia".

Dlaczego? Bo prawdopodobnie najszybciej zużywa energię witalną. Najgorzej czuje się człowiek zniszczony rozpustą i alkoholem, najlepiej ten, kto potrafił swą siłę żywotną ocalić.

SZCZĘŚCIE TO LEKKI NIEDOSYT

„Inna jeszcze antyteza pojawia się w przepisach na szczęście. Z jednej strony przepis jak najbardziej naturalny każe korzystać z każdej nadarzającej się pomyślnej okazji, zbierać dzięki niej jak najwięcej dóbr, doznawać jak najwięcej przyjemności, bo miewamy ich nieraz w życiu zbyt mało, ale nigdy nie możemy mieć zbyt dużo. Temu przeciwstawia się wszakże inny przepis: **Nie wykorzystywać wszystkiego co się nadarza, lecz odmawiać sobie części tego co mieć można.** Przepis ten niekoniecznie musi mieć intencję moralną, lecz właśnie eudajmoniczną, intencją jego może być też: **Nie dopuścić do stanu przesycenia, który również nie zawsze jest przyjemny.** A zwłaszcza, by nie dopuścić do tego, aby człowiek musiał powiedzieć sobie: Miałem wszystko co mieć mogłem i okazało się to — niewiele. To bowiem jest najgorsze. Przeciwnie, należy żyć tak, by wytworzyło się w człowieku inne przekonanie, że ilekolwiek miał, to mógłby — gdyby chciał — mieć jeszcze więcej, że życie ma inne jeszcze możliwości poza tymi, jakie zrealizował. Nie trzeba — mówiąc wytartym porównaniem — wypijać kielicha do dna, ani pić, aż się już dalej pić nie może.

Ostatni aforyzm Baltazara Graciana w Oraculo Manual brzmi: „Niczego nie powinno być zbyt wiele. I nawet w radości nie należy doprowadzać do największego natężenia". A Goethe napisał w wierszu o szczęściu dalekości, że „Choć pije się „święte szczęście" patrząc w oblicze ukochanej, to jednak jeszcze większym szczęściem jest miłość — z daleka. **Trzeba żyć zawsze w pewnym niedosyceniu".** Przypuszczalnie Luter już znał tę zasadę. I dlatego mówił, że dwa razy na tydzień, to nie jest w małżeństwie za wiele.

SZCZĘŚCIE — NAWET W CIERPIENIU!

„Cierpienia miały dla natur ascetycznych znaczenie nie tylko negatywne, były dla nich nie tylko ulgą, ale także źródłem pozytywnych radości. Jeśli poeci sławią najwięcej radości przychodzące po cierpieniach, to asceci **radości przychodzące razem z cierpieniami.** Cierpienia ich pociągają za sobą radości i mieszają się z nimi. „Pełen jestem radości, pociechy, nader obfituję w radość w każdym utrapieniu naszym", jak pisał św. Paweł do Koryntian.

Św. Franciszek Salezy w „Traktacie o miłości" do Boga powiada, że dla chrześcijanina, cierpienie od razu przekształca się w radość. Nie zamieniliby tego cierpienia na wszystkie słodycze świata. Radość jakiej doznają w cierpnieniu pochodzi z poczucia, że przezeń odkupują grzechy, zbliżają się i upodabniają do Boga. Oczekiwanie i wspominanie cierpienia, jest źródłem radości, radości, że się mieć będzie zasługę przed Bogiem. I łącząc się z tą radością, myśl o cierpieniu staje się nie tylko piękną, ale wręcz najpiękniejszą z myśli. Męczeństwo było marzeniem mej młodości, mówiła św. Teresa od Dzieciątka Jezus.

Radość, jaką święci asceci czerpali z cierpienia potęgowana była przez myśl o przyszłym szczęściu. „Oko nie widziało ani ucho nie słyszało co zgotował Bóg tym, którzy Go miłują".

Najlapidarniej ten stan uczuć sformułował św. Franciszek Regis, jezuita żyjący w pierwszej połowie 17 wieku. „Życie byłoby dla mnie nieznośne, gdybym nie miał cierpieć dla Chrystusa". Cierpienie stanowiło dlań już tylko jedyną drogę do szczęścia".

O WARTOŚCI TYCH WSKAZAŃ

„Przepisy na szczęście bywają nie tylko różne, ale wprost sobie przeciwne: jeden musi dla szczęścia robić to, czego drugi musi właśnie unikać. W tym sensie pisał Skarbek, że każdy mówi o szczęściu prawdę, o ile siebie tylko ma na myśli. Wydawać się nawet może, że sprawy szczęścia są nie tylko względne, ale całkowicie indywidualne, że ile ludzi tyle przepisów na szczęście.

Tak jednak nie jest. Ilość rzeczy mogących uszczęśliwić ludzi i ilość sposobów na szczęście — nie jest nieograniczona. Sposoby osiągania szczęścia dają się sprowadzić do pewnej ilości typów. Każdy przepis ma zastosowanie dla wielu ludzi mających podobne usposobienie i żyjących w podobnych warunkach. I gdy ujmuje się przepisy dość szeroko to dochodzi się do owych dwóch systemów: jednego zbudowanego na szerokim, a drugiego na wąskim fundamencie. Albo też: do systemu ryzyka i gwarancji, czy odprężenia i napięcia, czy pełni i niedosycenia".

OSIĄGALNOŚĆ SZCZĘŚCIA

„Sama osiągalność szczęścia też jest względna. Jedni mają „dyspozycję do szczęścia" i będą szczęśliwi, choćby los im szczególnie nie sprzyjał, inni nawet w najlepszych warunkach będą nieszczęśliwi. Bo aby czuć się szczęśliwym trzeba nie tylko mieć się z czego cieszyć, ale także, **umieć się cieszyć,** a zdolność ta nierówno jest między ludzi podzielona. Zależy od warunków psychicznych więcej jeszcze niż od fizycznych, od wychowania i przyzwyczajenia, nie mniej niż od tego z czym przyszli na świat. Zależy od szkoły życia, ale znów twarda szkoła jednych uczy zadowalać się małym, innych natomiast zmaltretuje, rozgoryczy i odbierze raz na zawsze zdolność odczuwania szczęścia.

„Naprawdę reguły szczęścia, zakazy i nakazy mają dla różnych ludzi bardzo nierówne znaczenie. Tezę, że nie są potrzebne i skuteczne, trzeba też zrelatywizować. Dla tych, którzy mają ów talent do szczęścia, są istotnie mniej lub więcej niepotrzebne. Oni instynktownie znajdują swe szczęście. Ci ludzie przez naturę przygotowani do szczęścia, najlepiej robią, jeśli jak najmniej je analizują i najmniej nim kierują. Niech je raczej traktują tak, jak zalecał Goethe, jako tajemnicę, której najlepiej nie dotykać.

Natomiast przepisy na szczęście, mogą być potrzebne dla tych, którzy nie posiadają talentu do szczęścia, ani też pomyślnych doń warunków. I to jest praktycznie najważniejsze, jeśli nie jedyne ważne zagadnienie szczęścia: jak uczynić szczęśliwymi tych, co nie mają do szczęścia danych? Przepisy filozofów do pewnego przynajmniej stopnia zagadnienie to rozwiązują. Chorowitemu, brzydkiemu, samotnemu, biednemu, pomóc jednak może stary przepis stoicki: nie myśleć o tym co dolega. Albo przepis nowy: myśleć o innych sprawach, bo myśląc o innych można łatwiej zapomnieć o tych, które dolegają".

„Wydaje się pewne, że nie ma szczęścia idealnego, zupełnego i nieprzerwanego. Nie ma go, bo przeciwdziałają mu nie tylko zmienne koleje losów ludzkich, ale i sama natura ludzka z jej tendencją do stępiania się i wyrównywania się uczuć. Ale tak samo jest i z zupełnym nieszczęściem. Jeśli szczęście jest nieosiągalne to i nieszczęście w analogicznym znaczeniu jest nieosiągalne również. Dlatego radykalny optymizm nie ma podstaw, ale tak samo radykalny pessymizm. Prawda to ważna, a rzadko uwzględniana.

Że tak jest zdaje się wynikać z samego pojęcia szczęścia i nieszczęścia. Szczęście jest ideałem ruchomym, który odsuwa się w miarę jak się don zbliżamy; już dlatego uchwycić go nie możemy. Na tę jego właściwość zwrócił uwagę, zwłaszcza Henryk de Man. Szczęście — powiada on — pojmujemy jako stan idealny i dlatego wyobrażamy je sobie zawsze powyżej naszego stanu rzeczywistego, a tak samo nieszczęście wyobrażamy sobie zawsze poniżej tego, co jest rzeczywiście. Są to dwa bieguny — górny i dolny, wedle których orientujemy się w życiu i na ogół siebie samych wyobrażamy sobie, jako znajdujących się między tymi dwoma biegunami. Bieguny te, szczęście i nieszczęście są konstrukcją naszego umysłu i mogą być przesuwane. Dla mas żyjących w ciężkich warunkach materialnych, szczęście to dobrobyt, ale gdy do dobrobytu dojdą, to szczęście odsuwa się automatycznie, pojawiają się nowe potrzeby i dopiero stan, w którym one byłyby zaspokojone wydaje się szczęściem. Jeśli istnieje postęp w szczęściu ludzkości, to nie w tym sensie, by ludzie zbliżali się do szczęścia — bo ono oddala się od nich w miarę, jak się doń zbliżają — lecz w tym, że zmierzają do szczęścia coraz wyższego zaspakajającego coraz więcej i coraz wyższych potrzeb.

To wszystko dotyczy jednak tylko szczęścia idealnego, zupełnego. Nie dotyczy realnego. Jest faktem, iż pomiędzy ludźmi są zadowoleni ze świata, losu życia, są tacy, którzy trosk mają mniej niż radości, albo nawet mając wiele trosk, doznają tego ogólnego zadowolenia, które nazywamy szczęściem.

J. St. Mill uważał, że cel życia jakim jest szczęście, można osiągnąć tylko wówczas, gdy nie czyni się go celem, bezpośrednim. Ci tylko są szczęśliwi, których myśli są skierowane ku jakiemuś przedmiotowi, innemu niż własna szczęśliwość — ku szczęściu innych, ku poprawie ludzkości lub nawet ku jakiejś sztuce, albo studiom uprawianym nie jako środek, ale jako idealny cel w sobie. Ludzie dążący w ten sposób do czegoś, znajdują szczęście po drodze".

BILANS ŻYCIA

„Bilans życia, może wypaść dodatnio już wtedy, gdy jakaś jedna zaleta jest w nim maksymalnie rozwinięta i całemu życiu nadaje charakter i wartość. Tak dzieje się w życiu świętego, mędrca i gieniusza. Życie świętego jest wypełnione przez dobre uczucia czy wolę czynienia dobrze, jak życie mędrca przez poznanie i zrozumienie świata, a życie geniusza przez pracę twórczą.

Ale również dodatni bilans życia może być osiągnięty, gdy rozwinięte są w nim różne wartości. Czy naprawdę będzie osiągnięty, to zależy bądź od samych tych wartości, które zostały w życiu zebrane, bądź też od ich zastoju. Muszą to być wartości liczne i różnorodne, i muszą być też harmonijnie zespolone. To też dodatni wynik życia, można osiągnąć bądź przez pełnię życia, bądź przez jego harmonię. Pełnię życia, daje mnogość i różnorodność posiadanych w nim dóbr, choćby były nawet opłacane tym czy innym, złym, błędem czy cierpieniem; harmonię zaś daje życiu właśnie to, że jest wolne od zła, błędu, cierpienia, choćby posiadane w nim dobra, nie były bogate i różnorodne.

Każda z tych pięciu idei, idea świętego, mędrca, geniusza, tak samo, jak pełni i harmonii życia, wskazuje na inny sposób osiągnięcia w życiu doskonałości, każda stanowi inny rodzaj doskonałości. Doskonałością zaś stictissimo sensu byłoby połączenie ich wszystkich: życie łączące pełnię z harmonią a mądrość i świętość z geniuszem. Doskonałość, świętość, mądrość czy geniusz, pełnia czy harmonia życia, są także źródłem zadowolenia, ale dla doskonałego człowieka, zadowolenie jest najwyżej wynikiem, a nie podstawą. Dodatniego bilansu życia.

SŁÓWKO O METODZIE

Powyżej, zacytowaliśmy szereg wyjątków z książki prof. Władysława Tatarkiewicza „O szczęściu" *). Metoda ta, została zastosowana świadomie, po to, aby uniknąć zniekształceń nagminnie towarzyszących referowaniu dzieł o charakterze naukowym. By móc dokonać oceny, trzeba było najpierw zapoznać czytelnika z zawartością niezwykle obfitego tomu. Zamiar ten udał się tylko częściowo. Żeby zastosować właściwe kryteria wartościujące, należałoby w danym wypadku dokładnie zdać sobie sprawę z tego zespołu wymagań, jakie postawił sobie autor, przystępujący do pracy nad tym zagadnieniem.

Będąc historykiem filozofii, ukazał pojęcie szczęścia w jego rozwoju dziejowym, określił je i zróżniczkował. Tylko to prawdopodobnie było Jego istotnym zamiarem. Dlatego, nie można mieć do prof. Tatarkiewicza pretensji, że nie dał własnej teorii szczęścia, ponieważ w obrębie tej książki, projekt podobny nie był w ogóle brany pod uwagę.

Sam fakt, że wypowiadamy w tej chwili taką ostrożną opinię, świadczy o tym, żeśmy Jego dzieło źle i nieuważnie czytali. W uwagach i komentarzach rozsianych na przestrzeni kilkuset stronic zawiera się potencjalny zarys bardzo oryginalnego widzenia omawianej sprawy. Postaramy się zrekonstruować ten obraz w momencie, gdy nasz osobisty pogląd na szczęście sformułowany zostanie, na zakończenie rozpoczynającej się właśnie dyskusji.

Jedynym zadaniem tego sprawozdania, było: dostarczyć do niej materiału skompletowanego w sposób możliwie wszechstronny. **Artur Zatopiński**

Wędrówki po scenach polskich

„ODWETY" KRUCZKOWSKIEGO W TEATRZE POLSKIM

Czuję, że wokół „Odwetów" zrobi się huczek znacznie większy, niż ten, jaki powstał po sztuce Hołuja. Boję się, że Kruczkowski będzie musiał zapisać nie dwie, ale co najmniej pięć kolumn „Dziennika Literackiego" (jedyne w Polsce pismo, które sprawę teatru traktuje serio), na swoje „Ostatnie słowo autora".

Mógłbym, jak każdy człowiek o skłonnościach do mistycyzmu (rety, do czego ja się publicznie przyznaję!) zabawić się w proroka i przedstawić już dziś główne nurty, którymi popłynie (skojarzenia z wodą bardzo na miejscu) dyskusja. Prorocy jednak nie są szanowani we własnym kraju, a zresztą... po co psuć tych co głos w rozhoworach zabrać zechcą.

Powodów do dyskusji nie zbraknie. W „Odwetach", mili moi, dzieją się rzeczy dziwne. Oto mamy dwu bohaterów: towarzysz (to słowo za wszystkie komentarze) Jagmin i były pułkownik a obecny (r. 1946) konspirator Okulicz. Kiedy mię zapytacie co ci obaj panowie robią na scenie to, jeśli szanowny dyrektor gimnazjum nie obrazi się za nazwanie go panem, będę zmuszony odpowiedzieć: p. Jagmin przez całe dwa akty (w pierwszym nieobecny) zagląda w duszę (cudzą albo własną — zależnie od sytuacji), a p. Okulicz bez przerwy walczy twardo i nieugięcie.

Zaglądanie w duszę jest to czynność charakteryzująca zajęcia lekarza psychiatry, albo romantyka. Skąd więc te sprawy u marksisty. Nie słyszałem, by Darwin użył kiedy tego terminu, chyba wtedy gdy mówił o żołnierzu do pracowania. Zaszło tu chyba jakieś nieporozumienie. O ile słuch mię nie zawodzi (co podobno często mi się zdarza) sprawcami tego nieporozumienia są kolejno: autor, reżyser i wykonawca roli. Polacy (stety czy niestety) są z natury skłonni do romantyzmu (a to się Jerzy Braun ucieszy!). A więc najpierw podkład romantyczny (nawet romansowy), a dopiero później glazura marksizmu. Jak to zwykle bywa glazura czasem pęka, kawałki odpryskują i... wyłazi szydło z worka. Jagmin, przyznajmy to uczciwie, usiłuje czasem zwalczać w sobie te cechy wrodzone — w konsekwencji jednak większość sił idzie właśnie na to, a do walki z Okuliczem zostaje ich bardzo niewiele. Nic dziwnego, że eks-pułkownik wygląda przy nim na rycerza niezłomnego. Ten podświadomy „błąd" (cudzysłów oznacza błąd albo zaletę) Kruczkowskiego pogłębił reżyser Wyrzykowski pozwalając Buszyńskiemu (Jagmin) na stworzenie cherlawej sylwetki (chyba, że chodziło o podkreślenie zawodu nauczycielskiego), człowieka, który prawdy swoje głosi wbrew temu co dyktuje mu podświadomość, a Butkiewiczowi (Okulicz) na przerysowanie w odwrotnym kierunku odtwarzanej postaci.

Może powiedzieć ktoś, że Kruczkowski i inni winowajcy postąpili tak, a nie inaczej dla wykazania iż moc Okulicza (oczywiście moc wątpliwej wartości) opiera się na nienawiści, która obca jest sercu Jagmina. Istotnie dyrektor gimnazjum wolny jest od nienawiści, ale wzamian za to pełno w nim naiwności, a nawet, grzesznej z punktu widzenia kolegów partyjnych, naiwności.

Zatrzymałem się nad tą sprawą dłużej, bo muszę przyznać, iż inaczej sobie wyobrażałem prawdziwego marksistę. Oglądanie żywego a wzorcowego marksisty należy do rzadkich okazji, tym niemniej można sobie tę postać łatwo wyobrazić — niestety sylwetka rysująca się w myśli nie jest podobna ani do Jana (Hołuj) ani do Jagmina (Kruczkowski). Jestem zupełnie pewny, że żaden z teoretyków marksizmu nie powie kandydatom wskazując na Jagmina: oto wzór dla was — tacy bądźcie!

O postać Jagmina wojna będzie aż ha! Niewiele się martwię tym, kto wojnę wygra. Jedno jest pewne: pisarze marksistowscy widzą swoje ideały poprzez grubą mgłę dorywczości lub teoretyzowania.

Zasługą Kruczkowskiego (przechodzimy do bardziej ogólnych opinii o sztuce), jest duża odwaga z jaką postawione zostały zagadnienia polityczne. Krańcowe koncepcje ideologiczne wypowiadane są w sposób pełny (zbyt pełny, jak na sztukę teatralną) z przysłowiowymi kropkami nad i. Ta cecha decyduje o tym, że „Odwety" można nazwać sztuką dobrą, ba, potrzebną!.

Walka idzie na całego. Odprężenie wnosi od czasu do czasu para małżonków Lemańskich, których słów słucha się z miną jak gdybyśmy poczęli przewracać karty roczników „Przekroju", wyczytując z nich kolejne dowcipy o Becwalskich. W roku 1948 dyskusja między Okuliczem a Jagminem nic już nikomu nie daje. Brakuje w niej jeszcze kogoś. Brakuje czynnika, który nie jest ani aż Jagminem, ani aż Okuliczem. Brakuje zwykłego szarego człowieka, demokraty bez legitymacji partyjnej. Jedynym problemem którego naświetlenie udało się Kruczkowskiemu w pełni, to sprawa Julka, sprawa tej młodzieży która z braku doświadczenia i z winy prowodyrów nie umiała lub nie mogła uchwycić momentu, w którym konspiracja z wzniosłego bohaterstwa zmieniła się w zbrodnię.

„Odwety", jak każda sztuka, której „zaangażowanie" chce się wykazać publicystyką a nie akcją, roi się od dłużyzn i patetycznego, standartowego gadulstwa. Początek trzeciego aktu jest przeraźliwie nudny, a nawet miejscami nielogiczny. Z dialogiem radzi sobie Kruczkowski lepiej i składniej niż Hołuj, ale obaj nie potrafią zrozumieć, że kiedy widownia wie już wszystko nie wolno nowowprowadzonej na scenę osobie opowiadać wydarzeń od Adama i Ewy.

Aktorsko spektakl niesiety gorszy niż inne na tej scenie. Bezbłędnie (za wyjątkiem męczenia Bogu ducha winnego Chopina — ale to już wina reżysera) postawiła swą postać Zofia Małynicz. Lubieńska nawet gdyby potroiła wagę swego talentu nie potrafiłaby ożywić mdłej Matyldy. Wołłejko dobry, ale wpadający w szablon — dajcież mu raz inną rolę, w której nie byłoby sceny z histerycznym płaczem. Duleba i Godik żywcem (jako się rzekło) z „Przekroju" wycięci. Kowalczyk, Sokołowska i Kubalski nie wiele mieli do powiedzenia. Może szkoda tylko, że porucznik milicji wyznaczony do śledztwa, był tak mało domyślny.

Na zakończenie jedna uwaga: „Odwety" to sztuka kameralna. Czy zabrakło sztuk, dla których można by w pełni wykorzystać wszystkie możliwości techniczne Teatru Polskiego?

Mieczysław Markowski.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

3

LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem"

— Dobrze — podjął Ksawery — więc dajmy spokój polemice. Muszę ci powiedzieć i zechciej moje słowa przyjąć jako aforyzm, bo ostatecznie to i jest aforyzm, że fałszywa wielkość jest nieprzystępna, ukrywa siebie lub co najmniej nie pokazuje się od czoła. Pokazuje się wtedy, gdy wie, że będzie mogła imponować, w blasku patosu, w świetle, oddziaływującym na wyobraźnię. Wielkość prawdziwa pozwala się dotykać niedowierzającym jak Tomasz i ganić na sądach skorupkowych. Nie traci nic na tym, bo nie traci nic z bliska. Im więcej się ją widzi i zna, tym lepiej się ją rozumie. Tak myślał La Bruyere. Trzeba umieć bez wysiłku być naturalnym, aby zniżać się do tych, którzy są niżsi od wielkości.

— Mój kochany, nie bądź złośliwy. To się do mnie nie odnosi. Ja nie rozmyślam o sobie i nie mam gotowej teorii postępowania. I jeszcze jedno: jednak wystąpiłeś z polemiką.

— Jak chcesz.

— Właśnie, ja nie mam zamiaru się z tobą sprzeczać. Czy możesz mi pokazać pokój, w którym ojciec umarł?

Przeszli przez kilka ciemnych pokoi i Konrad dziwił się, że nie zabłąkał się w tych ciemnościach po drodze. Pokój ojca był już uprzątnięty od tygodnia, Ksawery w nim spał przez dwie noce, szafy tylko stały otwarte i Ksawery wskazał na nie ręką.

— Nie wiem, nie pamiętasz, że ojciec miał zwyczaj trzymać książki i papiery po szufladach we wszystkich szafach i kredensach. Czego tu nie było. Prastare kalendarze, notesy, książki techniczne niemieckie i rosyjskie, tekst jakiejś mowy ojca. Jednego tylko nie znalazłem: ani śladu testamentu.

Konrad wzruszył ramionami.

— O to trzeba się będzie spytać adwokata. Jeżeli zostawił coś w tym rodzaju, to u niego.

Wrócili tą samą drogą z powrotem, a że zbliżała się pora kolacji, Konrad poszedł się umyć. Ksawery stał przez chwilę w jadalni i patrzył jak Stefka nakrywa do stołu, potem wrócił do gabinetu i przerzucał na chybił trafił papiery i książki na biurku: „Nora" Ibsena leżała tam obok „Dysproporcji" Kwiatkowskiego, w pożółkłych kartkach „Boskiej Komedii" Dantego tkwił przed laty zapewne wciśnięty arkusik papieru ze złoconymi brzegami, na którym była ręką ojca przepisana aria Caravadossi'ego z „Tosci". Obok leżał zwinięty nieporządnie i przedarty przez pół plik niewypełnionych blankietów wekslowych.

Siedzieli potem obaj przy kolacji, naprzeciw siebie i Ksawery milczał; doprawdy, nie miał nic do powiedzenia.

— Nie wiem, czy wiesz jak bardzo napięte są sprawy w Europie. Idzie wojna.

Ksawery skinął głową.

— Ale z kim?

— To jasne. Chyba, że Beck się przeliczył. Wtedy zostaniemy sami — odsunął talerz i włożył do ust papierosa. — To nie zmienia konieczności, choć bardzo zmieniłoby postać rzeczy.

— Czy Europa będzie miała odwagę? — zapytał Ksawery jakby nie brata, lecz kogoś trzeciego, kogo tu nie było. Konrad roześmiał się.

— Europa nie będzie miała odwagi, to pewne. A jednak wojna wybuchnie. Gdyby chodziło jeszcze o sam imperializm granic, ale tu stawka jest większa. W grę wchodzą ideologie.

— Nikt się nie będzie bił o ideologię, do wojny trzeba wyraźniejszych podniet. Dopiero później, w fazie zawierania pokoju, pojawiają się sztandary ideologii.

— Czy nie jesteś cyniczny?

— Jeżeli mówisz, że wojna wybuchnie o ideologię, to cóż, nie jesteś ostatecznie z przekonań demokratą...

— Zanadto upraszczasz, mój drogi, nikt nie będzie w tej wojnie bronił demokracji.

— Ciekawe — zauważył Ksawery — ciekawe. Nawet nie Francja?

— Jestem pesymistycznie nastrojony, gdy chodzi o Francję. Zresztą, niech przede wszystkim zdecyduje się wziąć udział w wojnie. Bonnet — zapamiętaj sobie — to jest nazwisko, które oznacza we Francji niechęć do wojny.

— Wiesz, Konrad, ty masz osobliwy dar mówienia takimi szerokimi syntezami, że nie zawsze cię rozumiem. Cierpisz na rozrost wyobraźni.

— Wyobraźni?

— Tak. To jedna z naszych cech specjalnych, po których nas łatwo powinno być odróżnić od innych narodów. Szczególnie polską inteligencję.

— Jest w nieznaczny sposób ospała.

— Tego w każdym razie o tobie powiedzieć nie można. Ale w tobie istniało kiedyś starcie sfery wyobraźni i sfery rzeczywistości. Wyobraźnia zwyciężyła i dlatego odznaczasz się stale skłonnością do wielkich syntez, do robienia olbrzymich planów, masz psychiczną skłonność do rewolucji.

— Doskonale, a dalej?

— A dalej? Cóż, twoja skłonność do rewolucji jest wyłącznie psychiczna, a skłonność do budowania planów wyłącznie inteligencka. To znaczy, przy rysowaniu syntezy nie bierze się zupełnie pod uwagę, na ile ta synteza utrafia w rzeczywistość. Twoi ludzie głoszą ewangelię lekceważenia trudności jako problemów wyłącznie technicznych, które po konuje się pewnym nakładem woli. Gdy dochodzi do realizacji, występują jednak trudności, których bądź w ogóle nie przewidziano, bądź ich nie można pokonać. W planie coś jakby zawodzi, jeszcze jedne, drugie trudności — i plan się porzuca, jako coś niewłaściwego i czym prędzej przystępuje się do tworzenia nowego planu. Stadium wiecznej reorganizacji planów — to jesteś nie tylko ty, to w ogóle cały polski nacjonalizm. Przerost wyobraźni.

— Nie powinieneś uogólniać narzekań. Istnieje pewien gatunek narodowców, którzy jak ognia boją się słowa rewolucja i którzy nawet dlatego nie chcą mieć planu, aby go nie musieć realizować. Czy to ci odpowiada?

— Myślisz w sposób przewrotny, Konradzie. Mnie chodzi o realizm, realizm przewidywania i realizm działania. Zrobić to, co naprawdę można zrobić.

— A jeśli można zrobić niewiele? — zapytał Konrad.

Ksawery wzruszył ramionami.

— Gdyby nie to polskie rozbicie, jesteśmy rozbici na partie, jak kiedyś Hellada żyła w rozbiciu drobnych państewek. Dlatego boję się Persów.

— Chcesz powiedzieć, że w jedności siła? To jest nawet prawda, tylko nie całkowita, a cząstkowa. Greków nie ocaliłaby ani federacja, ani nawet kompletne zwycięstwo Sparty, Aten czy Teb. Potrzeba, aby siła jedności była kierowana, wtedy tylko może być mowa o sile. Pozwól, jeszcze chcę jedno powiedzieć. Naprzód, zagadnienie kierowania. Czasami potrzeba użyć grozy dla dobra kogoś, kto jest w wielkim niebezpieczeństwie, a nie widzi tego, lub nie umie się ratować. A jedno, to będzie zasadnicze: plany, jeśli się nie udają, jeżeli się załamują, to nie dlatego, że je tworzy grupa inteligencka, ani nie dla przerostu wyobraźni, jak ty interesująco, jestem skłonny przyznać, to wywiodłeś. Po prostu dlatego, że ci, którzy te plany mają wykonać, są już wyczerpani, wyczerpani społecznie. Tak, mój drogi, nasze warstwy, powiedzmy tak, oświecone, są dziś wyczerpane ze swojej energii społecznej. Jak we Francji, gdzie pokolenie rewolucji zostało zżarte epopeą napoleońską, a mieszczaństwo znużyło się robieniem pieniędzy i karier w czasach restauracji i drugiego cesarstwa. Potem przyszedł nieuchronnie Sedan. Trzecia republika żyje z resztek, które zostały uratowane po Sedanie.

— Analogia z Francją jest powierzchowna. Zamiast Balzaca i Sedanu mieliśmy niewolę stuletnią i powstania. Zgodzę się, że oduczyliśmy się rządzić — powiedział Ksawery — ale nie zgodzę się, że nasza energia społeczna jest zużyta. Zważ jakie kariery Polacy robili w głębi Rosji w przemyśle.

— To ostatnie nie jest argumentem. Mieli ułatwioną konkurencję w społeczeństwie, które od czasów Czadajewa ciągle pisze i odwołuje samooskarżenia. Zresztą, kariery, kariery ludzie będą robić ciągle. Chodzi jednak o to, aby zrobić coś nie dla siebie, a dla innych, aby zostawić coś po sobie. Oto do czego współczesne pokolenie jest niezdolne. I dlatego widzę przed nami dwa zagadnienia: zagadnienie rewolucji, to znaczy odnowienia i ustalenia stosunków społecznych, przecież zgodzisz się, że my nie mamy jako naród żadnej tradycji gospodarczej, Jesteśmy krajem rolniczym, który pragnąłby się uprzemysłowić, ale nikt nie chce wziąć na siebie kosztów, bo przecież inwestycje kosztują.

— Zaraz, zaraz — przerwał Ksawery. — Jeżeli nie ma tradycji, to po co aż rewolucja?

— Na Boga, żeby zacząć jakąś rozsądną tradycję, aby wreszcie coś ustalić. Żeby ludzie zrozumieli, że tak powinno być. Tyle partii, mówisz. Więc właśnie, kłócą się tylko i w swoich sporach o mandaty gubią widok na całość. Trzeba im narzucić.

— Narzucić.

— Kwituję twój przekaz. A drugi problem, to problem energii. Jeżeli w jednej studni wody zabrakło, można jej nie zasypywać, broń Boże, lecz trzeba obok wykopać nową. Innymi słowy otworzyć nowe energie społeczne, dotąd niewykorzystane, chłopa i robotnika. Odświeżyć, zaczerwienić polską krew.

— Czekaj — uśmiechnął się nareszcie Ksawery — ja to powtórzę księżniczce Koriatowiczównie.

Konrad się nachmurzył, ale odpowiedział:

— A powtórz, ja jej sam mówiłem. Ona trochę rozumie, lecz jeszcze nie wszystko. Sama uważasz, nie potrafi się niczego wyrzec, ani strzępa Nawojowej. Choć nikt od niej lepiej nie chwyci śmiesznostek nawojowskich. To odświeżenie energii zawiera balsam i dla ciebie. Chłop wniesie swoją rzeczywistość, obłamie zbyt lotnej wyobraźni skrzydła.

— Jest zbyt nieufny. Nie zabierze się do niczego, zażąda tylko ziemi.

Konrad uśmiechnął się.

— To już jest coś. W żądaniach, które są wysuwane z takim uporem, musi istnieć jakaś społeczna prawda. Trzeba, żeby chłop zrozumiał, że dwa słowa, których używa — naród i lud — oznaczają to samo.

— Daruj mi tę nazwę: jesteś dla mnie wiecznym inteligentem.

Konrad wstał od stołu.

— Można iść do ciebie?

— Ależ proszę.

Zapalili papierosy. Ksaweremu przyszedł na myśl ks. Kabata, który nie palił. Był zły: wyczuwał, że w tej rozmowie Konrad miał sporo słuszności. Ogarnęło go niezadowolenie, nieraz już między nimi zaznaczała się różnica zdań, ale Ksawery wychodził z tych spotkań z poczuciem, że miał za sobą rację. Niewątpliwie, Konrad był pierwszej wody demagogiem. Czy istotnie wierzył w to, co powiedział przy stole? Zmieniał i uzupełniał swoje poglądy wcale często. Tak, był demagogiem, osądził Ksawery. Ludzi poznaje się nie po słowach, a po czynach.

— W każdym razie — odezwał się Konrad — powiem ci to, co Mann włożył w usta Naphty, usta mało sympatyczne, ale pod tym względem Naphta miał rację. Nigdy nie należy słuchać natury jako czegoś nieświadomego. Należy stawiać swoje żądania.

— Codźmy już spać, jest późno — wykręcił się Ksawery i ta świadomość, że posłużył się wykrętem, towarzyszyła mu uporczywie, gdy się położył do łóżka. Nie mógł długo usnąć.

Nazajutrz było jeszcze wcześnie, gdy pojechali na cmentarz. Po drodze Ksawery proponował wizytę u wikarego, ale Konrad oświadczył, że nie ma czasu i że w południe musi wracać do Warszawy.

— Jak chcesz — oświadczył Ksawery.

Grób był świeży, trawa nie mogła się zasymilować, zaklimatyzować dzięki dzikiej pogodzie. Uderzała ta tymczasowość i bezład świeżości — wieńce, szarfy przemokłe na deszczach i poszarpane przez wiatr. Grób senatora różnił się od innych grobów: był przybyszem nie dostosowanym do tej społeczności statecznej i cichej, zrezygnowanej i zapadającej się; odbijał jasnością plam świeżej gleby, świeżej gliny na ścieżce, gliny, w której grzęzło obuwie. Nie był nic a nic dostojny. Dostojność na tym wiejskim cmentarzu dawał dopiero czas, mijanie zim i wiosen. I zapomnienie, gdy groby przestawały już być potrzebne żywym. Wtedy nabierały ostatecznej i bezwzględnej powagi, powagi znieruchomienia i rozpędu. Tę powagę przeciwstawiały bujnemu i niespokojnemu przed wiośniu i ostrym przymrozkom, które jeszcze niekiedy chwytały w nocy i zostawały do rana.

Trudno było Ksaweremu się zorientować w nastrojach Konrada. Usunął się nawet nieco na bok. Konrad stał tuż przed nasypem grobu, włosy jak zawsze za długie i nieporządne, rozrywał mu wiatr. Twarz miał zasty głą, nieporuszoną i nie widać było, czy się modli, czy próbuje rozmawiać z nieżyjącym, czy tylko tak nieruchomo trwa, porwany zastygłym spokojem cmentarza. Wtem Konrad ukląkł w mokrej glinie i pochylił głowę. Ksaweremu wydawało się, że Konrad chce położyć się na grobie i chciał już zawołać — „co ty robisz, na miłość boską". Ale Konrad podniósł się szybko i objął prze lotnie wzrokiem postać Ksawerego.

— Chodźmy — powiedział szeptem.

Dopiero gdy znowu siedzieli w samochodzie i gdy wóz już ruszał, powiedział:

— Zajmij się urządzeniem czegoś trwałego. Byle było spokojne i wiesz, bez rzeźb. Jakiś kamień najlepiej.

Chciał oczyścić kolana z błota, ale glina była mokra i tylko ją rozmazał.

— Daj spokój, w domu cię oczyszczą — rzekł Ksawery.

Jechali już w milczeniu, Konrad miał przymknięte oczy. Ksawery myślał o rozmowach z księdzem Kabatą: nigdy dotąd sprawy własne nie wydawały mu się aż tak fascynująco ważne. W imię siebie oddzielał się teraz od wszystkich, od wszystkiego. Znaleźć siebie. Był właściwie rad, że Konrad zaraz odjeżdża. Nikt nie będzie przeszkadzał. Choć z drugiej strony wczesny odjazd Konrada przyśpieszał nieuchronnie jeszcze tę jedną rozmowę, ostateczną rozmowę, po której ich drogi się rozdzielą. Oczekiwał tej rozmowy z patetyczną żarliwością i z niepokojem. Chodziło w końcu o to, że nie mógł dopuścić do klęski własnych uczuć w starciu z życiem. Należało się wycofać w ustronie, obwiązać rany, policzyć, co jeszcze zostaje. Tak, zrobić rachunek. Klęska uczuć. Zostawała samotność, reszta była albo zdruzgotana albo po prostu obca, zimna, nie można było już nic ryzykować. Trzymać kurczowo w dłoniach to, co pozostało. Na dobrą sprawę, co pozostało? Z czym wyruszyć na nowo, na nowo w tę jazdę turniejową? Każdy z nas ma coś z don Kichota — jakieś nadzieje, jakieś złudzenia, o których nie wie, że są złudzeniami. Niewątpliwie, rozważał w myśli, wychowanie robi z nas don Kichotów. Ta troska rodziców o każdy krok i o każdą myśl własnego dziecka, troska o uformowanie dziecka. Z tego powstaje nadmiar wrażliwości. Zupełnie inaczej, niż w chłopskiej rodzinie, gdzie dziecko puszczone jest samopas, gdzie rośnie, karmiąc się twardą rzeczywistością. Ale też nie jest wolne od złudzeń, jak choćby Stefka z jej mitem miasta, z jej mitem nadziei na miasto.

Samotność. To był fragment z ostatniego listu Dewina, który wydał się Ksaweremu wprost zagadkowy, który odczytywał tyle razy. „Piękność jest burzą w pustyni, pojmujesz? Gdyby nie było piękności, piękności, która ma moc palącą, odczuwalibyśmy istnienie jako dotkliwą krzywdę. Wtedy byłoby lepiej nie istnieć niż istnieć. Łaknienie piękności jest łaknieniem srebrnej wody, która nas odświeża jak rytm wiosny odnawia przyrodę. Umysł może lekceważyć wiosnę, może ją dostrzegać tylko we fragmentach, których nie łączy w żadną całość. Ale istnieje w nas samych napastliwy rytm, który nas pcha — dokąd? Sam nie wiem. Czasami to „dary życia" — wino, wódka, kobiety, okrzyk, taniec, kiedy indziej skupione poczucie obowiązku. Tak, Cezar i Napoleon byli też narkomanami. Ich sposób życia, ich stosunek do historii był hulaszczy i rozpasany. Pijaństwo — ostatecznie, litr sławy czy litr wina? Nie, to nie cynizm, tylko poszukiwanie ostatecznego zrównania, eschatologia, której uczył Podolski. Dlatego stałem się stendhalistą i zbieram materiały do studium o Stendhalu".

C. d.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

PARĘ SŁÓW O SPRAWIE KOŚCIOŁA MARIACKIEGO I COŚ NIECOŚ O KATEDRZE WAWELSKIEJ

Na łamach polemiki w sprawie polichromii matejkowskiej w nawach kościoła Mariackiego, pozwolę sobie zabrać głos, będący, jak sądzę, głosem olbrzymiej masy polskiej. Wdzięczni jesteśmy gospodarzowi tej świątyni przezacnemu ks. Machajowi, że utrwala nam całą polichromię kościoła i jakże czekamy tej chwili, kiedy nam się znowu ukaże cudowna wizja wnętrza świątyni z ołtarzem stwoszowym i klejnotem starych witraży.

Mamy w Krakowie wiele świątyń gotyckich, jest kościół Dominikanów, Katedra Wawelska, kościół Bożego Ciała i św. Katarzyny, które dają nam wiele wrażeń głębokich i estetycznych, podziwiamy ich piękno i szarą bez polichromii strzelistość ich łuków i sklepień, znamy więc dobrze wnętrza krakowskiego naturalnego gotyku i właśnie kościół Mariacki przemawia do nas odrębnością swoją, chłoniemy harmonijną całość jego barwy, zrósł się z nami, nie możemy i nie chcemy mieć go innym. Polichromia presbiterium bez malowidłem pokrytych naw, stałaby się barwną i cudną szyją bez tułowia.

Zbladłyby także szopki krakowskie przed Bożym Narodzeniem zdobiące rynek krakowski, pawie pióra i dawne wstążki kwieciste, organicznie związane z wnętrzem świątyni. Polichromia powstała z odczucia ich kolorytu, ogarnęła i wniknęła ponownie w lud krakowski. Jest jego syntezą i ukoronowaniem.

I w żadnym kościele nie widać tylu zamodlonych sylwetek, ile przez dzień cały klęczy w Mariackiej świątyni.

Jeżeli coś poprawiać chcemy, to zwróćmy oczy nasze ku Wawelskiej Katedrze i prośmy wszyscy, by jak najprędzej usunięto z jej wnętrza kolumny wraz z pseudo - zygmuntowską kopułką, przygniatające ciężkim balastem przepiękną trumnę św. Stanisława, skracając zarazem nawę główną katedry odcięciem od presbiterium — obniżając katedrę bardziej jeszcze, a nawet przytłaczając grobowce królewskie znajdujące się w świątyni. Celem obejrzenia ich, uciekamy szybko z krótkiej nawy głównej do długich strzelistych naw bocznych, ukazujących w pełni piękność i majestat grobowców. Mało kto przyklęknie przy trumnie św. Stanisława, jest przygnieciona balastem kolumn i jakby niewidoczna, brak jej tła i perspektywy ołtarza.

Byłam obecna w katedrze Wawelskiej w dniu św. Stanisława, pragnęłam uczestniczyć w nabożeństwie celebrowanym przez metropolitę, Ks. Kardynała Sapiehę, ale daremnie! Ludzie stali na stopniach, a nawet wspinali się na balaski otaczające grobowiec św. Stanisława, tworząc krótką stłoczoną gromadę, zaś po kościele kręcili się zwiedzający, odcięci od głównego ołtarza, wszystko zasłaniającym fragmentem kolumn z kopułą. A nie byłoby tego nigdy, gdyby Msza św. była widoczna, tak jak nie ma tego w innych kościołach, w czasie nabożeństwa.

Maria Janina Riessowa
Katowice.

AUTOROWI LISTU PT. „O JAKIE TO WSZYSTKO NUDNE I GŁUPIE!"

Szanowny Panie!

Trzymając się zasad obiektywizmu muszę twardo przyznać: słowa mocne i strzał celny, ale... czy aż tak celny, by trafić miał w sedno z dokładnością, przynajmniej do jednej dziesiątej zdarzeń prawdziwych.

Abstrahując od innych, mniej lub więcej opartych na prawdzie faktów, które jak słusznie twierdzi Pan, obniżają nasz poziom kulturalny — stawia Pan poważny zarzut współczesnemu artyście i pisarzowi, rzekomego szukania przez nich prawdy poza światem, albo w sferze ckliwego (a jednak) wyrachowanego gadulstwa.

Szanowny Panie, gadulstwo, jak wiadomo istniało w czasach największych kultur i będzie istnieć, niezależnie od tego, jak posuwać się będzie nasza i wszystkie inne kultury. Taka już jest teoria walki o byt i takie prawo do tej walki dane każdemu żywemu stworzeniu. Sprawa zaś braku poczucia rzeczywistości we współczesnej twórczości, wydaje mi się najbardziej pozbawiona prawdziwych danych. Pisze Pan dosłownie: „To świat jest aż tak jałowy, że pisać o nim nie warto?"

A czymże cała tylu wiekowa literatura i sztuka narodów wypełniona jest, jeśli nie światem, jeśli nie jego weselami i pogrzebami; słowem, jeśli nie tym, co stanowi jego istotę? A czymże Pan nazywa abstrakcję, która zostaje zawsze i tylko zawsze wzrokiem jego, podniesionym na chwilę ku górze? — A poszukiwanie formy i tematu? — Nazywa Pan „rewolucją wstecz". Ja i cała ze mną historia ludzkości, zapewniamy Pana, że rzeczy minione, przeszłe — nie powtarzają się i nie powtórzą się nigdy, choćby nawet tego pragnęła czyjaś geniuszowska nieostrożność.

Nasz obecny pęd do nowego tematu i do nowej formy, to wypowiedź bezwzględnej walki właśnie wszystkiemu co było wstecznictwem, to najpotężniejszy wyraz związku człowieka ze światem rzeczywistym i solidarności jego z postępem tego świata.

Szary czytelnik —
Marczak Jerzy.

DO REDAKCJI „DZIŚ i JUTRO"

Ponieważ z listu **„Waligórzanki"**, zamieszczonym w tyg. z dnia 30.XI.47 trudno zorientować się czy chodzi o dalsze losy plutonu 107 „Jeleń", czy tylko o okres pobytu na Szucha, informuję, że w okresie powstania w dniach — 20 sierpnia do 2 września pluton „Jeleń" był na Sadybie - Czerniaków, gdzie niemal wszyscy z tego plutonu zginęli — i zostali pochowani na Sadybie, skąd po odzyskaniu niepodległości ekshumowano zwłoki przez Zarząd Miejski (Bagatela 10).

Gdyby chodziło o bliższe informacje co do poszczególnych osób mogłabym udzielić. — Piszę tak późno, gdyż dopiero dziś spostrzegłam powyższy list.

B. Kalinowska.

DO REDAKCJI „DZIŚ i JUTRO"

W zamieszczonym przez Szanowną Redakcję w 21-ym numerze „Dziś i Jutro", wycinku mojego artykułu pt. „Uwagi o światopoglądzie" powstały następujące błędy drukarskie, które prosiłbym uprzejmie — w tym stopniu przynajmniej, w jakim to jest jeszcze możliwe — sprostować:

Wiersz 3-ci od góry: „detoria" zamiast „deteriora", wiersz 3-ci od góry: „pożądam" zamiast „podążam".

Wiersz 19-ty od góry: „Niewidzianego" zamiast „Niewidzialnego".

Wiersz 21-y od góry: „można by to dodać" zamiast „Można by tu dodać".

„Szczęść Boże!"
Andrzej S

WSzan. Panowie Redaktorzy!

Liberalizm, jakim kieruje się redakcja „Dziś i Jutro" przy publikowaniu mniej lub więcej osobistych poglądów czytelników tego czasopisma, posuwa się, mam wrażenie, zbyt daleko i nieraz ośmiesza ją prawie.

W nr 20 (z 16-go maja) zamieszczono list pani M. G. z Krakowa, krytykujący ostro pomysł ozdobienia okładki książki ks. Eug. Dąbrowskiego postacią św. Pawła, wspierającego się na mieczu. Zanim przejdę do meritum sprawy, chciałbym poprosić Panów, abyście dla dobra tygodnika (jego artystycznego poziomu) dbali troskliwiej o wygląd zewnętrzny przesyłanych Wam wypowiedzi. List p. M. G. np. rozpoczyna się stylistycznym koślawcem, który wywołuje w człowieku silne mdłości! (Ukazała się...). Podobne „kwiatki" psują dobre wrażenie, odnoszone z lektury pisma.

Teraz ad rem. Pani M. G. utrzymuje, iż w ręku św. Pawła nie zadziwiłby kij podróżniczy, lub prócz księgi, któreś z narzędzi rzemieślniczych... ale nigdy nie miecz, nie szabla, nie oszczep!" Trudno mi wprawdzie wyobrazić sobie Apostoła Narodów z szablą czy oszczepem w ręku, nie czepiajmy się jednak niefortunnego sformułowania myśli (autorka listu chciała zapewne powiedzieć ogólnikowo, że nie powinno się świętym dawać do rąk żadnego śmiercionośnego narzędzia), lecz zajmijmy się samą myślą. O co właściwie pani M. G. chodzi? Św. Paweł wspiera się na mieczu, symbolizującym jego, duchem bojowym przeniknętą działalność i w takim przedstawieniu nie widzę nic gorszącego. Przecież Kościół Katolicki — to kościół wojujący, zaś życie Wielkiego Apostoła jest doskonałym potwierdzeniem tej prawdy. Wyobrażanie go zatem z orężem nie koliduje wcale z pokojowym charakterem Chrystusowej nauki. Pani M. G. próbuje poprostu wywołać przysłowiową burzę w szklance wody i robi wiele hałasu o nic. Gdyby poważnie chciało się wziąć jej uwagi należałoby w konsekwencji usunąć z żywotów świętych i z kościołów różnych Longinów, Florianów, Sebastianów, Ekspedytów i innych męczenników - żołnierzy, i to dlatego tylko, ponieważ zawodowo posługiwali się mieczem i włócznią, podobnie jak kowal młotem, lub stolarz heblem. Według nauki Kościoła w każdym stanie można zostać świętym. I p. M. G. kroczy błędną drogą, jeżeli z tej reguły wyklucza stan żołnierski. Szanowna Pani, proszę tylko posłuchać i rozważyć obiektywnie: Podczas ostatniej wojny poległy setki tysięcy żołnierzy. Wśród nich było wielu katolików, a między katolikami znowu znajdowali się napewno tacy, co prowadzili cnotliwe i budujące życie. Jak Pani sądzi? Czy śmierć na polu walki, z bronią w ręku, należałoby uważać za przeszkodę do ewentualnego beatyfikowania ich? **Nawet w wypadku gdyby zmuszeni byli, zabijać?** Może Pani odpowiedzieć: tak, ale wtedy stwierdzi Pani, iż między nakazem Chrystusa „Doskonałymi bądźcie..." a przeprowadzeniem tego nakazu w życiu istnieje czasem przepaść nieprzebyta. Tym samym stwierdzi Pani niedoskonałość Chrystusowej nauki! Doprawdy, nie rozumiem, dlaczego nie miałby zjawić się na ołtarzach święty, którego przedstawianoby z karabinem na ramieniu? Z bronią w ręce można służyć złej sprawie, oczywiście i wtenczas dokonuje się nią morderstw, ale można też służyć sprawie dobrej, słusznej, świętej nawet i wtenczas używa jej się zupełnie godziwie. Inaczej trzebaby wyprawy krzyżowe np. ochrzcić mianem zbrodni.

List p. M. G. mimo całej swej naiwności zastanawia. Z bezwzględną naiwnością potępia się w nim wojnę, ostatnią wojnę szczególnie. Są zatem ludzie, którzy nie zrozumieli istotnego sensu krwawych lat, jakie przeżyliśmy. Pani M. G. pisze: „Człowiek lubi spokój". Bezsprzecznie, proszę pani. Ale czyż pani nie widzi, że walka śmiertelna, jaką w roku 1939 podjęło Dobro ze Złem, miało właśnie na celu ów upragniony trwały spokój?

Z szacunkiem
Antoni Bocian.

Szanowna Redakcjo!

Proszę o wydrukowanie na łamach waszego pisma kilku słów w sprawie twórczości śp. Wł. Pietrzaka.

Nagroda im. Włodzimierza Pietrzaka została wręczona laureatom. Niewątpliwie odbije się ona szerokim echem w opinii krajowej. Jednak jeden szczegół wydaje mi się być pominięty.

Przechodząc ulicą Marszałkowską spostrzegłem wystawę księgarni przybraną fotografią i książkami jednego z nagrodzonych przez jury autorów i objaśnienie: „Laureatka nagrody im. Wł. Pietrzaka". Ale czy nie uważacie Szan. Panowie, że przy tej okazji powinno wypłynąć i nazwisko Tego, którego imieniem nazwaliście nagrodę? Teraz właśnie gdy opinia jest trochę — niestety! — zainteresowana. Rozumiem że istnieją poważne trudności wydawnicze — żyjący autorzy mają dość kłopotów — ale twórczość Pietrzaka ma wielki ciężar gatunkowy i nie można jej odkładać.

Przyznam szczerze, że kupuję „Dziś i Jutro" gdy są w nim zamieszczone essaye Pietrzaka. Bolesław Piasecki przemawiając na uroczystości wręczenia nagród powiedział m. in.: „Zostawił (Wł. Pietrzak) pięciotomową powieść, zbiór essayów i b. dużo artykułów publicystycznych".

Pięciotomową powieść... Nie wiem czy jest to nowa „Pałuba" czy „Nienasycenie", ale myślę, że Pietrzak musiał zostawić rzecz interesującą i trzeba się nią zająć. Ale jak? Wydać pięciotomową powieść u prywatnego wydawcy — przyjmijmy tę problematyczną możliwość — to wyniesie na prywatną kieszeń 2 do 3 tysięcy. Któż ją więc kupi?

Istnieje uważam druga możliwość. Łamy pism są dość chłonne objętościowo. Np. „Zbrodnia w dzielnicy północnej" Kisielewskiego zajęła 24 odcinki w waszym piśmie i 215 stron w wydaniu książkowym. A więc powieść Pietrzaka powinna zmieścić się w 100 numerach — dotychczas wydaliście już 130. Wydaje mi się, że w sprawie tej wartoby zapytać o zdanie czytelników; tym bardziej, że w chwili obecnej żadnej nowej powieści nie drukujecie.

Za to zbiór essayów stanowczo powinien ukazać się w wydaniu książkowym. Mimo braków stylistycznych, usprawiedliwionych przedwczesnym zgonem autora, są one chlubą naszej myśli krytycznej — mimo że nie zawsze zgadzam się z wysuniętymi tezami.

Pozostaję z szacunkiem
Paweł Hertz

Nowość

Jan Dobraczyński

„WYBRAŃCY GWIAZD"

powieść

str. 304 zł. 800.—

KSIĘGARNIA
Zdzisław Gustowski
Poznań, ul. Wielka 10

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Nadesłano

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „WIEDZA"

Sadzewicz Marek: OFLAG, pamiętnik jeńca wojennego, okładkę projektował Mieczysław Berman Warszawa, 1948, str. 250.

Kuncewiczowa Maria: KLUCZE, okładkę projektował I. Witz, wydanie pierwsze Londyn 1945, wydanie drugie Warszawa, 1948, str. 248.

Rusinek Michał: BURZA NAD BRUKIEM, powieść, wydanie trzecie, I część dwutomowego cyklu, tom II nosi tytuł „Człowiek z bramy", okładkę projektowała M. Hiszpańska, Warszawa, 1948, str. 180.

Twain Mark: YANKES NA DWORZE KRÓLA ARTHURA, z praw wydawniczych Tow. Wydawniczego „Rój", okładkę i ilustracje wykonał Ignacego Witz, Warszawa, 1948, str 238.

Józef Cyrankiewicz, sekretarz generalny CKW PPS.

Władysław Gomułka - Wiesław, sekretarz generalny KC PPR: BUDUJEMY WSPÓLNY DOM, okładkę projektował Stefan Bernaciński Warszawa, 1948, str. 64.

TOW. WYDAWNICZE „KSIĄŻKA"

Józef Broz-Tito: FRONT LUDOWY, jako ogólnonarodowa organizacja polityczna, przekład Aleksandra Małeckiego, okładkę projektował Władysław Stańczykowski, Warszawa, 1948, str. 36.

Krystyna Nowakowska: MOJA WALKA O ŻYCIE, wstępem opatrzył Jarosław Iwaszkiewicz, okładkę projektował Tadeusz Ulatowski. Warszawa, 1948, str. 137.

Lenin W. I.: CO ROBIĆ? (Biblioteka Klasyków Marksizmu) Palące zagadnienie naszego ruchu, Warszawa, 1948, str. 216.

Dobrowolski Władysław Józef: POZNAJ KRAKÓW I OKOLICE, przewodnik po Krakowie i okolicach, ze wstępem historycznym Adama Polewki. Osiem ilustracji, Kraków, 1948, str. 224.

Goździkiewicz Teodor: ZNAKI CZASU, powieść, okładkę projektował Zdzisław Rychlicki, Warszawa, 1948, str. 216.

Jastrun Mieczysław: SEZON W ALPACH I INNE WIERSZE, Warszawa, 1948, stron 124.

Larsen Egon: PARA I STAL (Biblioteka Popularno - Naukowa Nr. 15), część II Pochodu Wynalazców, tłumaczył Stanisław Domański, Warszawa, 1948, str. 96.

Mickiewicz Adam: PAN TADEUSZ czyli ostatni zajazd na Litwie, historia szlachecka z roku 1811 — 1812, słowo wstępne Mieczysława Jastruna, Warszawa, 1948, wyd. IV, str. 326.

Prus Bolesław: NA WAKACJACH Katarynka (Mała biblioteka „Książki" Nr. 5) wydanie II, Warszawa 1948, str. 32.

Prus Bolesław: GRZECHY DZIECIŃSTWA (Mała biblioteczka „Książki" Nr. 4) wydanie II, Warszawa 1948, str. 66.

Prus Bolesław: SEN, CIENIE (mała biblioteczka „Książki" Nr. 8), wydanie II, Warszawa, 1946, str. 32.

Smólski Władysław: DREWNIANA KOSZULA, humoreski, okładkę projektował Henryk Tomaszewski. Warszawa, 1948, str. 120.

ZBIOREK PIEŚNI, Warszawa 1948, str. 32.

Smedley Agnes: PIEŚŃ WALKI przełożyła Anna Kierska, z praw Tow. Wydawniczego „Rój", okładkę projektował Tadeusz Ulatowski Warszawa, 1948, str. 336.

POLIGRAFIKA

Mikułko Antoni: W POGONI, powieść, okładkę projektował Paweł Świątkowski, Warszawa, 1948, str 196.

WYDAWNICTWO WŁADYSŁAWA BĄKA

Kraszewski J.I.: STAROSTA WARSZAWSKI, obrazy historyczne z XVIII wieku, 3 tomy, Łódź — Wrocław, 1948, tom I — str. 208, tom II — str. 200, tom III — str. 188.

KSIĘŻA KANONICY REGULARNI

przyjmują do nowicjatu dobrych i zdolnych młodzieńców z maturą licealną lub gimnazjalną. Przyjmują również uczniów wszystkich klas gimnazjum ogólnokształcącego.

Bliższych informacyj udzielają

Księża Kanonicy Regularni
Kraków, ul. Bożego Ciała 26

KSIĘGARNIA NAUKOWA
T. Szczęsny i S-ka
Toruń, Rynek Staromiejski 30

Jan Czekanowski — Zagadnienia antropologii zł. 300.

Tadeusz Czeżowski — O metafizyce, jej kierunkach i zagadnieniach zł. 320.

Władysław Namysłowski — Polskie prawo komunikacyjne w zarysie.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

Druk. Skolimowska 5.

B-48723